



Miranda Jarrett



Narzęczona marynarza

Special - „Weselne dzwony”

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Neapol, Królestwo Neapolu, wrzesień 1798 r.

Abigaile Layton trzymała się oburącz boków wiklinowego wózka ciągniętego przez osiołka. Maleńki wehikuł trzął się i podskakiwał na kocich łbach. Przez długie dwa miesiące morskiej przeprawy z Anglii do Włoch tak przywykła do kołysania statku, że kiedy dzisiaj zsiadła na ląd, zdało się jej, że ziemia się chybcze i ucieka spod nóg. Jazda po neapolitańskich uliczkach była jeszcze gorsza. Abigail miała wrażenie, że zaraz dopadnie ją atak „ładowej choroby morskiej”, o ile coś takiego było możliwe. W każdym razie tak to nazwała na swój użytek, choroby lokomocyjnej wszak jeszcze nie znano, z chorobą morską zdążyła się jednak zapoznać, kiedy tylko wypłynęli z Gravesend.

- Dom brytyjskiego ambasadora, signorina - poinformował ją woźnica, wskazując rezydencję na wzgórzu.

- Siedziba brytyjskiego posła, znaczy się? - upewniła się Abigaile słabym głosem, przywołując oficjalny tytuł, i zsunęła kapelusz na czoło dla ochrony przed ostrym słońcem. - Dziękuję.

Posadowiona wysoko na wzgórzu ambasada prezentowała się nadzwyczaj okazale. Dumna budowla bardziej przypominała pałac niż rezydencję przedstawiciela brytyjskiego rządu. Abigaile starała się „obserwować” ów wykwit imperialnej architektury „intelektualnie”, jak uczył ją ojciec. Miała nadzieję, że tym sposobem zapomni o sensacjach żołądkowych.

Na każdym piętrze dwanaście wielkich okien, klasyczna kolumnada. Tak, lepiej skupić się na architekturze, niż myśleć o pocie spływającym po plecach. Suknia, którą nosiła na znak żałoby, była zbyt gruba i zupełnie nie nadawała się na

południowy klimat. Kiedy Abigail wyjeżdżała z Oksfordu, angielskie lato już się kończyło, ale w Neapolu prażyło słońce.

Dla dodania sobie otuchy dotknęła małego złotego serduszka, które zawsze nosiła na szyi. Dostała je od ojca. Był to prezent z okazji Bożego Narodzenia, ostatniego Bożego Narodzenia, które spędzili razem. Jakże to dziwne, że w tym roku spędzi święta pod palmami i słonecznym niebem, zamiast pod jemiolą, o ile ambasador ją zatrzyma, ma się rozumieć.

- Jesteśmy, signorina. - Wózek zatrzymał się na podjeździe ambasady. Dźwięk dzwoneczków przy uprząży osiołka nie licował z dumnym otoczeniem. Woźnica zeskoczył na bruk, zdjął kufer z wózka, postawił go na ziemi i wyciągnął rękę.

- Oczywiście. - Abigail zaczęła szukać w kieszeni monet, na co mężczyzna uklonił się nisko. Nie o zapłatę mu chodziło.

- Najpierw muszę usłużyć pięknej pani.

Abigail spiekła raka. Ostrzegano ją, że każdy Włoch uważa się za galanta, i oto miała pierwsze potwierdzenie. Nie przebyła długiej drogi z Anglii, by flirtować z neapolitańczykami. Do Włoch sprowadzały ją niezmiernie ważne sprawy. Ostentacyjnym gestem wcisnęła kilka monet w wyciągniętą rękę i wysiadła z wózka, obywając się bez pomocy. Wygladziła spódnice, głęboko odetchnęła dla uspokojenia rozedrganych nerwów i rezerwowo weszła po stopniach, by zapukać do drzwi rezydencji.

Wysoki odźwierny w białej peruce zmierzył ją lekceważącym spojrzeniem.

- Pani godność, signorina?

- Panna Layton - opowiedziała się Abigail, wręczając przy tym służącemu wizytówkę swojego ojca. - Panna A. R. Layton. Sir William mnie oczekuje.

Odźwierny zawahał się, dając jasno poznać, że bardzo powątpiewa, by ambasador oczekiwał jakiejś panny A.R. i tak dalej.

Abigail była w stanie zrozumieć jego ociąganie, wyglądała wszak nędznie. Czarna suknia nosiła ślady soli morskiej, co brało się stąd, że Abbie chodziła w niej

świętek, piątek i lubiła w czasie rejsu wystawać na pokładzie, nie przejmując się bryzą. Potem nie mogła tych plam doczyścić. Tania wełenka, kiedyś czarna, zmieniła kolor na nieokreślony brunatno-brązowy. Należało uszanować pamięć ojca, nawet jeśli żałoba nie prezentowała się najlepiej. Poza tym, warto wspomnieć, jej kuferek podróżny nie zawierał kolekcji damskiej mody. Wątpiła, czy odźwierny wpuści do pysznej rezydencji kogoś tak żałośnie przyodzianego.

Nie poddawała się jednak. Ambasador powinien ją przyjąć, zaprosił ją, miała jego list w kieszeni. I ani grosza na powrót do Anglii.

- Proszę powiedzieć sir Williamowi, że przyjechałam. - Starła się, by odźwierny nie usłyszał w jej głosie błagalnej desperacji. - Wolałabym nie skarżyć mu się, że zostałam zatrzymana przy wejściu.

- Sprawdź, czy sir William jest u siebie. - Służący cofnął się niechętnie i wpuścił ją do holu, wskazał jedno z krzeseł dla oczekujących i zniknął.

Abigail przysiadła na brzegu krzesła, a woźnica rzucił kuferek u jej stóp.

Służba przechodziła przez hol, nikt na nią nie zwracał uwagi, traktowano ją jak powietrze. Była zmęczona, zniechęcona odstręczającym przyjęciem, ale musiała czekać, zdana na zły czy dobry humor ambasadora. Nie miała wyboru. Gdzieś zegar wybił kwadrans. Wpadające przez świetlik nad drzwiami promienie słońca przesuwały się powoli po posadzce. A ona czekała, czekała.

W końcu usłyszała jakieś głosy. Po schodach schodził pan w bogato haftowanym kaftanie. Towarzyszyło mu kilku urzędników i lokaj ze szpadą i peleryną swojego pana. Inny lokaj pośpiesznie otworzył drzwi i Abigail dojrzała czekający na podjeździe powóz.

Wstała, postąpiła krok i zatrzymała się wyczekująco. Pewna, że ma przed sobą sir Williama Hamiltona, uznała za stosowne zwrócić się do niego pierwsza. Nie mogła dopuścić, by uciekł, nie wysłuchawszy jej.

- Proszę wybaczyć, sir Williamie... - Ambasador zatrzymał się na przedostatnim stopniu, tak że musiała zadzierać głowę, kiedy mówiła. - Przyjechałam na pana zaproszenie, czekam tutaj od rana i...

- Pani jest Angielką, madame? - dokonał niezwykłego odkrycia ambasador. - Pani jest Angielką - powtórzył zaskoczony - a ja kazałem pani czekać. Carter, dlaczego nikt mi nie powiedział, że pani na mnie czeka?

Urzędnik skoczył do przodu, złożył dłonie.

- Ależ Thompson powiadomił pana o przyjeździe pani. Przekazał panu jej bilet wizytowy. Panna... ach, panna Layton.

Ambasador otworzył szeroko oczy.

- Ale A. R. Layton...

- To mój ojciec - dokończyła Abigail. - Mamy... mieliśmy te same inicjały. Zmarł w zeszłym roku, a ja kontynuuję jego pracę. Gdyby mógł pan poświęcić mi chwilę. Zapewniam, że moja wiedza i wykształcenie...

- Proszę ze mną, panno Layton. - Wskazał drzwi do najbliższego saloniku. - Nie mam czasu, ale sprawa musi być załatwiona od ręki.

- Dziękuję, sir Williamie. - Weszła do pokoju z wysoko podniesioną głową i stanęła przy kominku. Musi ją zaakceptować, musi uznać w niej następczynię ojca. Przebyła zbyt daleką drogę, by teraz odprawił ją z niczym.

Ambasador odchrząknął. Był starszy, niż się spodziewała, wysoki.

- Ogromnie mi przykro, że pani ojciec odszedł - zaczął trochę nerwowo. - Obawiam się jednak, że...

- Proszę mnie wysłuchać, sir Williamie. Bardzo proszę, zanim wyda pan osąd. Mój ojciec przekazał mi całą swoją wiedzę, pomagałam mu od wczesnego dzieciństwa. Jestem w stanie skatalogować pańską kolekcję z największą starannością, na jaką zasługuje, i przygotować ją do wysyłki, zapewniam. Nie znajdzie pan nikogo równie kompetentnego i pieczołowitego. Otoczę pana bezcenne starożytności należyтым staraniem. Dotrą bezpiecznie do Anglii.

Ponownie odchrząknął.

- Mówi pani z ogromnym zaangażowaniem o moich skorupach, panno Layton. Godna podziwu pasja, zwłaszcza u tak młodej osoby.

- To coś więcej niż stare skorupy, sir Williamie - obruszyła się Abigail. - Pańska kolekcja, którą przed laty przekazał pan do British Museum, należy do najwspanialszych w Europie, podobnie wspaniała jest ta druga kolekcja. Znam katalog, który sporządził dla pana baron d'Hancarville.

- Miała go pani w ręku?

- Przeczytałam dokładnie - powiedziała pewnym tonem. Uważała, że baron wykonał ogromną pracę, ale popełnił sporo błędów. - To będzie dla mnie prawdziwy zaszczyt móc zająć się tak wspaniałą kolekcją.

Sir William uśmiechnął się, mile polechtany słowami Abigail, ale najwyraźniej się wahał.

- To nie takie proste, panno Layton. Nie chodzi też o pani kwalifikacje. Jakże mógłbym panią prosić, żeby została tutaj w czas wojennej zawieruchy? Słyszała pani zapewne, bo nawet podczas przeprawy morskiej musiała pani słyszeć o walkach toczonych przez flotę Jego Królewskiej Mości przeciwko siłom Bonapartego?

- Nic nie wiem na ten temat, sir Williamie. - Płynęła do Neapolu na statku handlowym. Była jedyną pasażerką i trzymała się na osobności, posiłki jadła sama, w swojej kabinie. Na jej widok marynarze gwizdali, klaskali w dłonie, wykrzykiwali sprośności, których po większej części nie rozumiała. Nawet kapitan był z grubo ciosanym prostakiem. Wolała się nie zadawać z tymi ludźmi, nie miała z nimi nic wspólnego.

- Nasza flota stoczyła wielką bitwę u ujścia Nilu, panno Layton. Admirał Nelson odniósł druzgocące zwycięstwo nad Francuzami. - Ambasador uśmiechnął się dumnie. - Lada dzień spodziewamy tutaj naszych okrętów. Zawiną do Neapolu na dłużej dla remontów, przeglądów, uzupełnienia zapasów...

Tego akurat było jej trzeba... Znowu marynarze, w dodatku z okrętów wojennych.

- Z tego, co pan mówi, wynika, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

- Ależ nie! - Przybrał stosownie zatroskaną minę. - Rozbiliśmy flotę Francuzów, ale musimy zepchnąć ich możliwie najdalej na północ. Trzeba zachować czujność, panno Layton. Gotowość, ustawiczna gotowość, ot co. Dlatego myślałem skorzystać z pomocy pani ojca. Nie mogę dopuścić, żeby moja kolekcja wpadła w łapy tych francuskich biesów.

- Świetnie. Zatem zajmę się pana zbiorami w zastępstwie ojca - oznajmiła dziarskim tonem. - Niech się pan przekona, co umiem. O nic więcej nie proszę. Wystarczy mi jeden dzień, żeby pokazać, co jestem warta.

Ambasador trochę się zasepił, ale najwyraźniej rozważał propozycję Abigail. Znalezienie kogoś kompetentnego nie było wcale sprawą łatwą, a tutaj zgłasza się chętna... Jaki miał wybór?

- Proszę nie liczyć na taryfę ulgową tylko dlatego, że jest pani kobietą. Oczywiście będzie pani mieszkała w rezydencji jako nasz gość, ale oczekuję takiej samej pracy, jakiej oczekiwałbym od pani ojca.

- Nie zawiodę pana, sir Williamie. - Miała już pewność, że ambasador pozwoli jej zostać. Poczula tak ogromną ulgę, że zakręciło się jej w głowie. Przed spotkaniem była tak zdenerwowana, że nie zjadła śniadania, a kiedy czekała w holu, podano jej tylko szklanekę wody. - Mogę zacząć... zaraz... jak tylko... - Oparła się o gzyms kominka, żeby nie upaść.

- Panno Layton? - Głos ambasadora dochodził gdzieś z daleka, pobrzmiwał dziwnym echem w jej uszach. - Mój Boże, źle się pani czuje?

- Nie... nic mi nie jest. - Nie była już w stanie powiedzieć tego krótkiego zdania wyraźnie. Poczula, że osuwa się powoli na podłogę. A potem już nic.

- Nie był pan nigdy w Neapolu, prawda, poruczniku? - zapytał admirał, przykładając lunetę do prawego, zdrowego oka. Wiatr rozwiewał jasne pukle wydostające się spod bandaża. Lekce sobie wążąc ranę, nacisnął fantazyjnie na czoło piróg. Admirał był osłabiony, blady i chociaż upierał się, że nic mu nie jest, niemal wszyscy oficerowie czteropokładowego HMS „Vanguard” czuwali dyskretnie, w razie gdyby zasłabł. - Piękne, cudowne miasto. Zachwyci pana.

- Tak jest, sir - przytaknął skwapliwie lord James Richardson. Jako trzynastoletni chłopiec wstąpił do szkoły kadetów i po dziesięciu latach we flocie dosłużył się stopnia porucznika. Nawet gdyby admirał Nelson oświadczył, że nad Neapolem latają różowe byki i zielone małpy, też przytaknąłby bez wahania, bo był służbistą, ale też całym sercem pragnął, by Neapol go zachwycił.

Więcej, potrzebował oczarowania. Brał udział w wielu bitwach, napatrzył się na śmierć, ale rzeź w delcie Nilu, rozbita doszczętnie, z wyjątkiem dwóch okrętów liniowych i dwóch fregat, flota Napoleona, tysiąc siedmiuset zabitych po stronie wroga i dwustu osiemnastu po brytyjskiej, ta rzeź przekraczała wszystko, czego doświadczył dotąd, czego doświadczył ktokolwiek, kto służył we flocie królewskiej. James należał do szczęśliwców i wyszedł ze straszliwego starcia cało, bez jednego choćby draśnięcia. Nigdy nie miał zapomnieć koszmaru bitwy, ale szukał czegoś, co ukołoby trochę grozę wspomnień. W mesie oficerskiej koledzy rozprawiali o pięknych neapolitańskich kobietach, o tym, jak to neapolitanki nie będą szczędziły łask bohaterom wracającym z Egiptu.

James słuchał z nadzieją, że jego przyjaciele mają rację.

Liczyli, że przy odrobinie szczęścia mogą kotwiczyć w zatoce do Trzech Króli, może nawet dłużej. Jaką słodyczą dla ucha byłyby westchnienia skorych do uciech dziewcząt po jękach umierających w męczarniach żołnierzy, jękach, które ciągle rozbrzmiewały mu w głowie. Tak, lepiej zatracić się w rozkoszy, niż widzieć, jak twarz towarzysza broni w jednej sekundzie zamienia się w krwawą miazgę.

- Oto pierwszy komitet powitalny. - Admirał z uśmiechem opuścił lunetę.

Z lądu dostrzeżono już okręty Korony i teraz płynęły ku nim niewielkie statki i łodzie rybackie. Gdzieś na masztach powiewał Union Jack, biało-niebiesko-czerwona flaga brytyjska.

- Nikogo nie wpuszcza pan na pokład, kapitanie Hardy. Nie możemy zamienić „Vanguarda” w pływający zamtuż. Do portu mamy wejść jak się godzi okrętowi flagowemu. Nasi ludzie jeszcze zdążą zakosztować cielesnych przyjemności.

Kapitan i jego oficerowie przyjęli uwagę admirała śmiechem, ale James uśmiechnął się tylko i wygładził po raz nie wiedząc który śnieżnobiałe mankiety paradnego munduru.

Jako że James prawdziwie odznaczył się w bitwie, okazując odwagę i zimną krew, zaraz po zawinięciu do portu, w uznaniu swych zasług, miał towarzyszyć admirałowi z oficjalną wizytą u sir Williama Hamiltona.

Niemalą rolę odgrywał też fakt, że jako syn hrabiego Carringtona będzie potrafił znaleźć się w towarzystwie. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio był na prośzonej kolacji, zasiadał przy stole, na którym przy każdym nakryciu stał rząd kryształowych kieliszków różnej wielkości i kształtu, a po bokach leżała stosowna liczba srebrnych sztućców, których kolejność stosowania wymagała prawdziwej wiedzy. No i damy! Wytworne damy, które oczekiwały, że panowie będą je bawić gładką rozmową. Brzmiało to może pięknie, ale James bardziej bał się kolacji u ambasadora, niż spotkania z francuskim okrętem.

„Vanguard” mijał właśnie Capri. James mógł dojrzeć już Neapol, dymiący krater Wezuwiusza i białe rezydencje na wzgórzach nad zatoką. Jedna z nich musiała należeć do sir Williama.

Służba pod czujnym okiem lady Hamilton nakrywała zapewne do stołu: ustawiano kwiaty, z pokoju kredensowego noszono porcelanę, kryształy i srebra... Mówiąc inaczej, ci ludzie zastawiali zasadzkę na biednego Jamesa.

Ale on wygra. Zawsze pokonywał przeszkody stojące mu na drodze. Po kolacji umknie szczęśliwie do jakiejś tawerny, gdzie będą czekały skore do uciech dziewczęta.

- Oto i Neapol - powiedział admirał bardziej do siebie niż do oficerów. - Tu spędzimy święta Bożego Narodzenia. Wybornie. Neapol... Najbardziej magiczne miejsce na ziemi.

Abigail jeszcze nigdy w życiu nie zdarzyło się zemdleć. Co za wstyd oprzytomnieć na podłodze, mając przed nosem trzewiki sir Williama przyozdobione srebrnymi sprzączkami. Zaczęła wyjaśniać, że to upał, zmęczenie, nowe otoczenie sprawiły, iż straciła przytomność, ale sir William wymógł na niej, wbrew gwałtownym protestom, by pozwoliła pokojówce zaprowadzić się do pokoju, w którym miała zamieszkać. Położono ją do łóżka, zaciągnięto kotary... Dostała słomkową herbatę i postną grzanekę, jednym słowem obchodzono się z nią jak z obłożnie chorą.

I może słusznie, bo gdy tylko złożyła głowę na poduszce, zapadła w głęboki sen. Od dnia wyjazdu z domu nie spała tak spokojnie. Obudziła się dopiero wieczorem, ale z dołu dochodziły ożywione głosy i śmiechy. Po omacku odszukała zegarek ojca na szafce nocnej i mrużąc oczy, usiłowała w mroku odczytać godzinę.

Siódma! Przespała niemal cały dzień. Usiadła w pościeli i odrzuciła kołdrę. Jak ma przekonać sir Williama, że powinien ją zaangażować, skoro wyleguje się w łóżku? Zapaliła świecę, ubrała się szybko w świeżą suknię, wyjęła z dna kufra zeszyt do sporządzania notatek i ruszyła ku schodom.

Służąca, neapolitanka o kruczoczarnych włosach i pulchnych policzkach, zapalała właśnie za pomocą knota na długim pręcie światła w żyrandolach w holu.

- Przepraszam - zagadnęła Abigail z uśmiechem, mając nadzieję, że dziewczyna mówi po angielsku. - Możesz mi wskazać, gdzie sir William przechowuje swoją kolekcję starożytności?

- Nikomu nie wolno tam wchodzić, signorina. - Dziewczyna zmarszczyła nos. Dawała Abigail jasno do zrozumienia, że choć nie jest służącą, to przecież też nie jest osobą cieszącą się do końca prawami gościa. - Odkurzać też nie wolno. Rozkaz sir Williama.

- Mam skatalogować zbiory na życzenie pana ambasadora - zaprotestowała Abigail. - Po to tu przyjechałam. Możesz go zapytać. Jestem pewna, że...

- Lady Hamilton i sir William podejmują właśnie admirała, nie wolno przeszkadzać. Przecież słyszy ich panienka. W domu pełno oficerów, co ich sir William zaprosił na kolację.

Rzeczywiście, teraz, kiedy dokładniej się wsłuchała, stwierdziła, że dochodzą ją wyłącznie męskie głosy.

- Przynajmniej pokaż mi kolekcję.

Służąca westchnęła z niejaką już irytacją.

- Pokażę panience pokoje sir Williama, jak będę schodziła na dół, ale nie wejść z panienką. Mam swoją robotę.

Abigail zaczęła, aż zapłoną wszystkie świece, po czym zeszła z dziewczyną na dół.

- To tutaj, panienko. - Pokojówka zatrzymała się przed ostatnimi drzwiami na końcu długiego korytarza i cofnęła się. - Dalej pójdzie panienka sama. Nie chcę stracić pozycji. Rozkaz to rozkaz. Jak sir William zapyta, jak panienka tu trafiła, wyprę się wszystkiego.

- Dziękuję - bąknęła Abigail, ale dziewczyna już uciekła.

Abbie odetchnęła głęboko. Nie zamierzała się wycofywać. W końcu po to tu przyjechała, czyż nie? Nacisnęła klamkę i weszła do środka.

Podniosła wysoko świecę i na moment znieruchomiała w niemym podziwieniu. Na regałach i w przeszklonych szafach stały obiekty najwyższej klasy. Wazy, talerze, fragmenty marmurowych rzeźb, brązy. Wszystko to pomieszczone w jednej przestrzeni. Serce uczonej panny zabiło żywiej na widok tylu rzadkich wspaniałości.

Podniecenie przyćmiewał tylko smutek, że ojciec nie dożył tej chwili, nie mógł zobaczyć drugiej kolekcji sir Williama.

Postawiła świecę na regale i płomień oświetlił niewielką płaskorzeźbę przedstawiającą Trzy Gracje. Dotknęła lekko białego marmuru. Rzymska kopia greckiego dzieła, pomyślała, odruchowo zaczynając już katalogowanie. Pierwszy wiek przed naszą erą, może nawet drugi...

- Najmocniej przepraszam, nie chciałem przeszkadzać - odezwał się nieco burkliwy męski głos.

- Nie przeszkadza pan. - Odwróciła się ku drzwiom. Włosy intruza złociły się w świetle padającym z korytarza, ale skrytej w cieniu twarzy nie mogła dojrzeć. - To nie mój pokój, trudno zatem, żeby pan przeszkadzał.

- Rozumiem. - Nieznajomy musiał być Anglikiem, zawsze to milej w obcym miejscu spotkać rodaka. - Byłaby pani łaskawa wskazać mi drogę do salonu lady Hamilton?

Podszedł ku niej, dzięki czemu mogła mu się przyjrzeć dokładniej w blasku świecy. Był młodszy, niż wskazywał na to głos. Mniej więcej w jej wieku. Oficer floty królewskiej. Ciemnobłękitny mundur galowy bogato szamerowanym złotem. Złotem połyskiwała też rękonośnica i pochwa szpady, którą nosił przy mundurze. Białe bryczesy opinające uda, białe pończochy...

Przystojny, zabójczo przystojny. Miał piękny uśmiech i cudownie błękitne oczy.

- Wskazać panu drogę... - Zamilkła.

Myśl, dziewczyno, myśl, zbeształa się w duchu. Nie zachowuj się jak gęś. Owszem, oficer był przystojny, ale przyłapał ją w galerii sir Williama, widział, jak dotykała bezcennej płaskorzeźby mimo ostrzeżenia pokojówki, że niczego nie wolno dotykać.

Ku jej przerażeniu ten człowiek robił w tej chwili dokładnie to samo.

- Ile tu staroci. - Wziął do ręki figurkę Apolla z terrakoty i odwrócił, jakby szukał od spodu ceny. - Słyszałem, że sir William jest wybitnym kolekcjonerem, ale to tutaj przypomina strych mojej ciotki. Proszę spojrzeć, ten nieszczęśnik ma pęknięte ramię... Na co komu takie rupiecie?

- Ten „nieszczęśnik” liczy sobie dwa tysiące lat. Nie nazywałabym go „rupieciem”. - Wyjęła mu ostrożnie małego Apolla z dłoni. - Jest piękny. Bezcenny. I unikalny.

- Pani jest młoda. W pierwszej chwili, kiedy usłyszałem głos, odniosłem wrażenie, że rozmawiam z kimś starszym, ale pani... pani jest młoda - powtórzył, zapominając całkiem o statuetce.

Nie miała żadnego doświadczenia w prowadzeniu konwersacji z panami, zwłaszcza młodymi i zabójczo przystojnymi, nie wiedziała, jak powinna zareagować.

Uniosła głowę i przytuliła do piersi wyratowaną z rąk barbarzyńcy figurkę.

- Mam dwadzieścia jeden lat, sir. Jeśli pan...

- Jesteśmy prawie rówieśnikami - przerwał jej. - Ja mam dwadzieścia trzy.

Nienawykła, by jej przerywano, Abigail skinęła głową i podjęła:

- Jeśli brzmię poważnie jak na swój wiek, to dlatego, że większość czasu spędzałam w towarzystwie ojca, który przez całe długie lata przekazywał mi swoją wiedzę. To musi być... Sir, proszę uważać!

Piękny nieznajomy obrócił się i zawadził szpadą o gliniany garniec, który zakołysał się niebezpiecznie. Abigail rzuciła się na ratunek etruskiej terrakocie, jakimś cudem nie wypuszczając Apolla z ręki, i zderzyła się ze sprawcą całego zamieszania.

- Spokojnie, spokojnie. - Chwycił ją za ramiona. - Po co się tak rzucać przed siebie na oślep?

- Po co?! - Abigail nie posiadała się z oburzenia. Była tak wstrząśnięta tym, co mogło się stać, iż nie zwracała uwagi, że oficer ciągle trzyma dłonie na jej ramionach. - Omal nie stłukł pan attyckiej wazy czarnofigurowej!

- Jak słoń w składzie ceramiki, ma pani rację. Mówiłem, że te skorupy powinny mieć swoje miejsce na strychu, za attyką.

- Nie, nie! - wykrzyknęła Abigail. - Miałam na myśli Attykę, region w starożytnej Grecji, którego centrum były Ateny, a nie...

Jak mogła wyklądać mu, czym się różni Attyka od attyki, kiedy stał przed nią, cały złoto-granatowy, uśmiechnięty, i ani myślał zdjąć dłoni z jej ramion? Nigdy dotąd nie zdarzyło się jej znaleźć tak blisko mężczyzny. Nie miała pojęcia, w jakie zakłopotanie może człowieka wprawić taka bliskość. Pannie nie przystoi na nią przyzwalać.

- Proszę wybaczyć, sir... Nie będę pana zanudzać opowieściami o Attyce. Pan zapewne nie interesuje się starożytnością. Mało kto się interesuje.

- Jeśli panią to zajmuje, to mnie też - odparł z galanterią.

Poczuła, że żar oblewa jej policzki. Powinna położyć kres tej bzdurze.

- Bardzo miło z pana strony. Muszę jednak prosić, żeby mnie pan puścił, bym mogła...

- Och, prawda. Proszę o wybaczenie. - Cofnął dłonie jak oparzony i odsunął się nieco. - Nie pomyślałem. Tak dawno nie przebywałem w towarzystwie angielskiej damy, żem całkiem zapomniał, jak należy się zachować.

Ukłon, kolejny krok do tyłu i następna waza zakołysała się niebezpiecznie.

- Uwaga, sir! - Abigail znowu musiała rzucać się na ratunek bezcennej ceramice. - Przykro mi, ale jestem zmuszona prosić, by pan stąd wyszedł, zanim stanie się pan zarynem prawdziwego kataklizmu.

- Nie miałem zamiaru...

- Nalegam, sir. - Należało okazać stanowczość wobec tego człowieka.

Kolekcja sir Williama była najważniejsza. Nie wolno jej zapominać, jak wielką

wagę przywiązywał do tych wspaniałych zbiorów ojciec, powinna natomiast pamiętać o czarującym uśmiechu galanta w ciemnobłękitnym mundurze. - Pójdzie pan korytarzem w lewo, tam znajdzie salon jaśnie pani. Wystarczy zresztą kierować się głosami innych gości.

- Tak powinienem był zrobić od samego początku, czyż nie? - Znowu się uśmiechnął i podał Abigail ramię. - Zechce mi pani towarzyszyć?

Pokręciła głową i mocniej ścisnęła Apolla, jakby się bała, że ręce nie będą jej posłuszne.

- Nie jestem gościem lady Hamilton. Sir William zatrudnił mnie do skatalogowania kolekcji. To znaczy może zatrudni, jeśli będzie zadowolony z mojej pracy.

- Jakże miałby być niezadowolony?

Nie czuła się na tyle pewnie, by przyjąć komplement.

- Dopiero się okaże, sir.

- Ależ zaangażuje panią, o ile ma trochę oleju w głowie. - Piękny nieznajomy cofał się ku drzwiom. - Jeszcze się zobaczymy.

W jego głosie zabrzmiała taka pewność, że Abigail znowu oblała się rumieńcem.

- Nie wiem, sir.

- Ale ja wiem. - Zatrzymał się w drzwiach. - Z całą pewnością się zobaczymy.

ROZDZIAŁ DRUGI

James stał na balkonie tawerny i spoglądał w kierunku willi, które majaczyły nad zatoką niczym blade zjawy w mroku. Nie tak myślał spędzić swoją pierwszą noc w Neapolu. Po tym, co się wydarzyło tego wieczoru, jedzenie wydawało się pozbawione smaku, wino cienkie, dziewczęta wulgarne i urody pospolitej. Nie cieszyło go nawet towarzystwo dwóch najbliższych sercu przyjaciół, drażniła ich siermiężna wesołość.

Wyjął z kieszeni zegarek. Nie minęła nawet północ, na okręcie musiał się zameldować dopiero nad ranem, o czwartej bowiem zaczynał wachtę.

- Czemu uciekłeś od stołu, Richardson? - Obok Jamesa stanął jeden z przyjaciół, porucznik John Beattie. - Damy czekają.

James zerknął na trzy roześmiane kobiety.

- To nie są damy, Beattie.

- Może nie, za to są chętne. Czy nie o tym myśleliśmy przez ostatnie tygodnie?

James wzruszył ramionami. Nie miał ochoty tłumaczyć przyjacielowi, czego sam do końca nie rozumiał.

- Może kiedy indziej.

- Kiedy indziej? - Beattie zachmurzył się. - Co się dzieje? Masz nie po kolei w głowie? Jedzenie u sir Williama ci zaszkodziło?

- Teraz ty głupio gadasz - prychnął James. - Jedliśmy dokładnie to samo.

- No nie wiem. - Położył mu rękę na ramieniu. - Coś się musiało przydarzyć, kiedy zniknąłeś przed kolacją. Zdybałeś jaką pokojóweczkę? Czy prostą sługę?

- Żadną pokojóweczkę ani sługę, ale nie powiem ani słowa o tej damie.

- Dama? Skąd ją wytrzasnąłeś? Poza lady Hamilton nie było tam żadnej damy, a i ona nie bardzo się między nie liczy.

- Prawda. - Lady Hamilton, córka kowala, bez żadnych szkół, była nie tylko osobą niskiego stanu, ale też kobietą z bogatą przeszłością. Karierę zaczynała w wieku piętnastu lat w jednym z londyńskich burdeli.

Ciemnowłosa panna, która upierała się, że nie jest gościem w domu sir Williama, wywodziła się z całą pewnością z dobrego domu, miała wzięcie prawdziwej damy. Owo „coś”, o czym lady Hamilton mogła tylko marzyć. Wszyscy wiedzieli, że Emmę przysłał do Neapolu sir Williamowi kuzyn, który pozbył się tym sposobem kochanki i mógł wreszcie ożenić się bogato dla podreperowania majątku.

- Dama, którą dzisiaj poznałem, była w żałobie, co może wyjaśniać, dlaczego nie zasiadła z nami do kolacji, choć to Angielka.

- Wdowa? - Beattie spoważniał w jednej chwili. W burzliwy czas wojny aż nazbyt często spotykało się młode wdowy. - Mąż był oficerem?

- Nie pytałem. - Tak było lepiej.

Dama powinna decydować, jak wiele o sobie chce powiedzieć. Starał się uszanować jej żałobę, acz sądząc po tym, jak znoszona była czarna suknia, sporo czasu musiało minąć od odejścia bliskiej osoby.

Było w niej coś, co trafiało mu do serca, ale nie potrafił powiedzieć, co to takiego. Czy to, że błękitne oczy robiły się ogromne, kiedy patrzyła na niego? Czy to, że przy całej swojej nieśmiałości potrafiła stawiać sprawy wprost? Czy to w końcu, że tak zżarcie broniła staroci sir Williama? Może po prostu jej angielskość przypomniła mu o rodzinnym kraju, w którym nie był od lat, narażając życie w jego obronie.

Nie umiał sobie tego wytłumaczyć, ale nie mógł zapomnieć o pannie spotkanej w domu sir Williama.

Nie chciał o niej zapominać.

Beattie odchrząknął głośno, dając przyjacielowi do zrozumienia, że od dłuższej chwili oczekuje odpowiedzi.

- Rozumiem, że zajmuje cię ta dama - przemówił - ale to nie powód, by psuć sobie zabawę.

- Wy się bawcie, kiedy macie chęć, ja wynajmę łódź i wracam na okręt.

- Zostawisz te ślicznotki dla wdówki, której możesz nigdy więcej nie zobaczyć?

- Zobaczę ją na pewno. - James dopiero teraz uświadomił sobie, że nie wie, jak się owa dama nazywa. - I to niebawem.

- Ale przecież nie dzisiaj. - Beattie ponownie wskazał siedzące przy stole dziewczęta. - Znasz mądre powiedzenie o wróblu w garści, prawda? Te neapolitańskie panienki podobno potrafią takie rzeczy, że człowiek zapomina, na jakim świecie żyje.

- Zatem sprawdzicie, czy tak jest w istocie. - James odstawił kieliszek z niedopitym winem i nacisnął piróg na głowę. - Rano opowiecie mi, jak się bawiliście.

- O ile nie pojedziesz z admirałem na śniadanie do sir Williama.

James zmarszczył czoło. Był pierwszym porucznikiem na „Vanguardzie”, najważniejszym oficerem zaraz po kapitanie. Admirał napomykał, że wkrótce mógłby objąć dowództwo. Jego miejsce było na pokładzie, powinien od rana nadzorować naprawy. Jeśli jednak pojedzie z admirałem do sir Williama, będzie miał sposobność zobaczyć małą wdówkę.

- Co mówiłeś?

- Nic, ale widzieliśmy na własne oczy, co się dzieje. Lady Hamilton zagięła parol na admirała i wcale się nie kryje ze swoimi intencjami. Prawdziwy despekt dla starego męża, ale znowu admirał wcale nie od tego, żeby przyjąć jej awanse.

James nie mógł zaprzeczyć. Wszyscy na „Vanguardzie” byli świadkami egzaltowanego, histerycznego powitania, które zgotowała Nelsonowi lady Hamilton. Admirał był wielkim dowódcą, prawdziwym bohaterem, James go wielbił całym sercem, ale czyż jednooki, jednoręki, słabego zdrowia mężczyzna mógł być

obiektem czułych westchnień ciągle jeszcze pięknej lady Hamilton? A jednak... I nieważne, że w Anglii czekała na niego żona, a Emma miała męża.

- Prawda, zupełnie jawnie okazuje mu swoje względy.

- Delikatnie mówiąc. - Beattie sięgnął po kieliszek Jamesa, uniósł go pod światło i dopił poniechane wino. - Nic dziwnego, że chce kotwiczyć w Neapolu aż do świąt, kiedy jaśnie pani tak skłania się ku niemu.

- Zdarzało się nam zawijać do gorszych portów. - James popatrzył na zatokę, na palmy. Jakże inny był to widok niż zimowe krajobrazy rodzinnego Devonu. Chyba wolał jednak połyskującą srebrnymi refleksami, spokojną zatokę, niż dewońskie śniegi. - Jeśli mamy zawdzięczać święta w Neapolu względem lady Hamilton dla admirała, niech i tak będzie.

- Och, względy lady Hamilton! Mówią, że coś łączyło tych dwoje już przed laty, kiedy on miał jeszcze dwoje oczu, a ona nie była jaśnie panią. Nie będę się w to wgłębiał. Kupidyn to dziwny dzieciak.

- Diabło dziwny - przytaknął James i pomyślał o małej, rezolutnej wdówie wartej więcej, niż wszystkie piękności Neapolu razem wzięte. - Uważaj, żeby nie trafił cię swoją strzałą.

- Nie ma obawy. - Beattie puścił oko. - Ale ty uważaj, Richardson. Kto wie, co może się wydarzyć między tobą a tą twoją wdówką od Hamiltonów.

James zawtórował przyjacielowi, ale w jego śmiechu nie było rubasznej nuty.

- Kto wie - powiedziała cicho. - Kto wie...

Abigail sięgnęła po srebrne szczypcy, nałożyła sobie grzanek na talerz i rozejrzała się, gdzie by usiąść. Wszystkie miejsca przy ogromnym, pięknie nakrytym mahoniowym stole w pokoju śniadaniowym były wolne, mogła więc wybierać. Nikt z domowników dotąd się nie pojawił. Nic dziwnego, zważywszy na to, że wczorajsza kolacja przeciągnęła się do późnej nocy. Do sypialni na piętrze długo dochodziły ożywione głosy i śmiechy z sali jadalnej.

Pokojówka poinformowała wprawdzie Abigail, że śniadanie zaczyna się o wpół do ósmej, ale w Neapolu wpół do ósmej najwyraźniej oznaczało coś innego niż w Oksfordzie.

Usiadła u końca stołu, obok miejsca, które zwykle musiała zajmować pani domu. Sama też późno poszła spać, długo w noc szkicowała projekt katalogu dla sir Williama i teraz pozostawało tylko czekać na jego decyzję.

Nie przeszkadzało jej, że je śniadanie samotnie. Widok roztaczający się za oknami zapierał dech w piersiach, z naddatkiem rekompensując brak towarzystwa przy stole. Spokojne wody zatoki połyskiwały w promieniach porannego słońca, nad miastem królował Wezuwiusz w koronie z lekkiej mgły.

Piękny widok, romantyczny nawet. Po raz pierwszy w życiu Abigail zapragnęła dzielić swoje doznania z jakimś dżentelmenem. Oficerem w służbie Korony na przykład, jak ten złotowłosy porucznik, który podtrzymał ją, kiedy się potknęła...

Nie. Zamknęła oczy. Precz kuszące wspomnienia. Nie po to odbyła daleką drogę z Oksfordu. Miała kontynuować dzieło ojca, a nie flirtować z człowiekiem, który rozwinię żagle i odpłynie w dal, zapominając o przygodnej znajomości. Może już odpłynął. Najpewniej nigdy go już nie zobaczy.

A jednak pragnęła z całego serca, by stało się inaczej.

- Panna Layton, czyż tak? - Do pokoju weszła pani domu, a uczyniła to tak, jakby wchodziła na scenę.

Dłonie uniesione, rozłożone szeroko, obrócone wnętrzem do góry, by kaszmirowy szal mógł miękko opływać wdzięczną postać. Była wysoka, pulchna, nie pierwszej już młodości, ale ciągle piękna: świetlista cera, burza kasztanowych włosów i zachwycający uśmiech, promienny, słoneczny...

- Jestem lady Hamilton. - Podeszła do Abigail. - To doprawdy rzecz niewybaczalna, że nie powitała pani wczoraj w naszym domu. Lepiej się pani już czuje? Zadowolona pani z pokoju?

Abigail podniosła się pośpiesznie, dygnęła. Lady Hamilton zdawała się wielką damą. Zwracała się do niej tak serdecznie, tylko jej głos przyprawił Abbie o prawdziwą kontuzję: odstręczający, skrzekliwy, do tego akcent osoby niskiego stanu, prędzej przekupki z targu rybnego, nie żony ambasadora.

- Dziękuję, milady. Czuję się już zupełnie dobrze, a pokój... pokój naprawdę bardzo wygodny.

- Znakomicie. - Jaśnie pani usiadła, dając znak Abigail, by i ona siadała.

Przed lady Hamilton natychmiast pojawił się talerz z sadzonymi jajkami, bułeczki maślane i białe kiełbaski. Milady zabrała się do jedzenia z wielkim apetytem.

- Czeka panią poważna praca, wiem to, ale mam nadzieję, że zostanie trochę czasu na przyjemności. Proszę przyjąć moje wyrazy współczucia. Słyszałam o bolesnej stracie, z którą musiała się pani zmierzyć.

- Dziękuję. Ojciec zmarł w sierpniu zeszłego roku. Mam nadzieję kontynuować jego dzieło.

- W sierpniu zeszłego roku? - powtórzyła lady Hamilton z pełnymi ustami. - Nie moja to wprawdzie sprawa, ale chyba najwyższy czas, żeby zdjęła pani żałobę i zaczęła się normalnie ubierać. Codziennie będziemy tu mieć oficerów z naszych okrętów. Szkoda, żeby taka śliczna panna miała ich odstraszać od siebie czarnymi sukniami.

Abigail zaczerwieniła się i natychmiast pomyślała o wczorajszym spotkaniu.

- Obawiam się, że obowiązki nie pozwolą mi na... próżniactwo.

- A pfuj! Sir William nie oczekuje po pani ustawicznej pracy, a i ojciec nie pochwałaby zapewne takiej postawy.

Abigail odruchowo dotknęła złotego serduszka na szyi. Milady miała rację. Ojciec zawsze się martwił, że zbyt wiele czasu poświęca studiom i opiece nad nim, to już w jego ostatniej chorobie. Pragnął, by znalazła męża jak każda panna w jej wieku.

- Proszę się tylko nie smucić. - Lady Hamilton poklepała ją po ręku. - Wiem, co to znaczy nie móc sobie kupić nowej sukni, wstążek i tak dalej. Pokojówka przyniesie pani trochę rzeczy. Proszę zobaczyć, czy coś z tego będzie odpowiadało. Musi mieć pani garderobę odpowiednią na tutejszy klimat, a nie... Oto i nasz drogi bohater!

Zerwała się z krzesła i podbiegła do drzwi. Tak jak nie przypominała w niczym damy, chociaż w pierwszej chwili mogła za taką uchodzić, tak admirał Nelson zupełnie nie kojarzył się w oczach Abigail z wielkim bohaterem. Drobnej postury, mizerota niemal, o słabych, siwych już włosach, wymykających się kosmykami spod bandaża na czole. Pusty prawy rękaw munduru, rękę stracił niegdyś w bitwie, nosił przypięty do piersi. A jednak w prawym, ocalałym oku błysnęła radość, kiedy lady Hamilton w przykłęku ucałowała jego dłoń, po czym przytuliła bezwstydnie do policzka. Prawdziwie teatralne powitanie. Skandaliczne.

- Dość, milady. - Admirał pomógł wstać Emmie. - Nie trzeba nam takich demonstracji, prawda?

Dopiero teraz Abigail dostrzegła stojącego za plecami admirała oficera. Jej złotowłosa porucznik! Kiedy ich spojrzenia się spotkały, skłonił się lekko, z powagą. Abigail spłonila się i natychmiast wbiła wzrok w talerz.

Nie zrobiłam przecież nic złego, mówiła sobie. Nie muszę piec raka tylko dlatego, że dżentelmen skinął mi głową na powitanie.

Jak to możliwe, że zdawał się jeszcze przystojniejszy niż poprzedniego wieczoru? I jakim zrządzeniem losu pojawia się znowu w domu sir Williama? Nie spodziewała się go ujrzeć.

- Pozwoli pan przedstawić sobie pannę Abigail Layton - odezwała się lady Hamilton. - Panna Layton zajmuje się kolekcją sir Williama. Panno Layton, admirał Nelson.

Abigail wstała i dygnęła, na co admirał odpowiedział łaskawym uśmiechem.

- Oraz porucznik, lord James Richardson - kończyła prezentację lady Hamilton. - Jest synem hrabiego Carringtona, ale ważniejsza rzecz, że ma zaszczyt służyć pod naszym cudownym bohaterem.

- Pani uniżony sługa, panno Layton - rzekł porucznik.

- Do pańskich usług - bąknęła Abigail i znowu poczuła, że pałają jej policzki. Nie był jakimś tam sobie marynarzem, nawet nie prostym porucznikiem, lecz adiutantem admirała i hrabiowskim synem. Uśmiechał się teraz do niej z błyskiem zainteresowania w oku i pewnym zdziwieniem. I miał na imię James. Zawsze lubiła to imię...

- Tu jesteś, panno Layton! - Do pokoju wszedł sir William z jakimś marmurem w ręku. - Przeczytałem twój projekt i jestem pod wrażeniem. Pod wielkim wrażeniem. Pomyślałem jednak, że zrobię jeszcze mały sprawdzian, jeśli pozwolisz. - Położył marmur na stole, cofnął się i założył ręce na piersi. - Powiedz mi, panno Abigail, kogo tu widzisz.

- Doprawdy, sir Williamie - obruszyła się lady Hamilton. - Pozwólże biedaczce dokończyć spokojnie śniadanie.

- Żaden kłopot, milady. - Abigail przyglądała się wyrzeźbionemu w marmurze przedstawieniu tańczącego satyra. - To fragment stelli nagrobnej, Jonia, piąty wiek przed Chrystusem, na pewno nie później.

Sir William nachylił się ku niej z chytrą miną.

- A przeznaczenie?

- Przeznaczenie? - upewniła się Abigail, nie chcąc pobłądzić przy odpowiedzi.

- Tak, przeznaczenie - powtórzył. - Gdzie ta rzeźba mogła się pierwotnie znajdować?

- Proszę wybaczyć, sir Williamie - wtrącił się porucznik - ale panna Layton odpowiedziała już na pytanie.

Abigail spojrzała na niego ze zgrozą. Po co ten galant wstawia się za nią, kiedy nie chciała żadnego wstawiennictwa ani go potrzebowała. Nie zdawał sobie sprawy, że gotów wszystko popsuć, czyniąc z niej ignorantkę?

- Przeciwnie, milordzie - zareagowała błyskawicznie. - Wcale jeszcze nie odpowiedziałam na pytanie.

Porucznik posłał jej jeden z tych swoich niesamowitych, przyprawiających o zawrót głowy uśmiechów.

- Ależ nikt nie oczekuje od pani odpowiedzi, panno Layton.

- Niemniej odpowiem, ponieważ znam odpowiedź. - Tu zwróciła się do sir Williama, zapominając chwilowo o poruczniku. - Stelle z tego okresu były zwykle używane w czasie ceremonii pogrzebowych, ale że ta przedstawia satyra z kielichem w dłoni, sądzę, że albo musiała znajdować się w świątyni Dionizosa, albo została zamówiona przez prywatnego patrona do jego ogrodów. - Wiedziała, że ma rację, sam ojciec nie udzieliłby trafniejszej odpowiedzi, ale sir William milczał z nieprzeniknioną miną. Zdało się, że wszyscy w pokoju wstrzymali oddech wraz z egzaminowaną panną.

- Ma pan jeszcze jakieś pytania, sir Williamie? - odezwała się w końcu, by przerwać nieznośne milczenie.

- Pytania, powiada pani? Tylko jedno. Kiedy może pani zacząć?

Odpowiedziała uśmiechem. Sir William ją zaakceptował. Co za ulga!

- Natychmiast, sir. Natychmiast.

Sięgnęła po tańczącego satyra, żeby odnieść go do gabinetu starożytności, ale oto przyskoczył do niej porucznik i dźwignął marmur ze stołu.

- Proszę mi pozwolić, panno Layton. To zbyt ciężka rzecz dla damy.

Chciała powiedzieć, że da sobie doskonale radę sama, ale uprzedziła ją lady Hamilton.

- Wybornie, poruczniku! - zawołała uradowana. - Panna Layton pana poprowadzi.

- Istotnie, wyborny pomysł, milady - zawtórował Emmie admirał. - Lord Richardson nie tylko odznacza się niezwykłą odwagą, ale jest też bardzo zmyślnym młodzieńcem. Posiada prawdziwy talent organizacyjny. Będzie z pewnością użyteczny przy pakowaniu kolekcji i właściwym sztautowaniu, by bezpiecznie dotarła do Londynu.

- Cóż za wspaniała propozycja, admirale - rozpromienił się sir William. - Nie mogę jednak pozwolić, by porucznik trwonił czas na moją skromną...

- Ależ może pan, jak najbardziej - przerwał mu admirał. - Proszę przyjąć tę pomoc jako podziękowanie za pańską gościnę.

- Zatem porucznik musi zostać u nas razem z panem, admirale - zawołała lady Hamilton, której pomysł nadzwyczajnie się spodobał. - Muszę jednak ostrzec obu panów, że będzie tu gwarno i tłumnie w czas świąt.

- Proszę wybaczyć, milady - odezwał się Richardson - ale mam obowiązki wobec moich podkomendnych. Nie mogę przyjąć zaproszenia, gdyż...

- Możesz, możesz, Richardson. - Admirał nadał swoim słowom ton, który sprawił, że zabrzmiały jak rozkaz. - Inni będą pilnować twoich podkomendnych i robót na naszym „Vanguardzie”. Nie masz chyba nic przeciwko temu, by popracować ramię w ramię z piękną panną?

- Nie, admirale. - Porucznik dźwignął ponownie stół, którą był na moment odłożył.

- Miss Layton?

- Dlaczego nosisz żałobę, panno Layton, skoro nie jesteś wdową? - zagadnął, gdy tylko znaleźli się na korytarzu.

- To żałoba po ojcu. - Abigail zatrzymała się raptownie. - A ty dlaczego mi nie powiedziałaś, że jesteś lordem, panie poruczniku?

- Bo to nie najważniejsza rzecz, kiedy idzie o moją osobę! - wykrzyknął najwyraźniej urażony. - Pragnę być osądzany podług własnych zasług, a urodzić się lordem to żadna zasługa.

- To, że noszę żałobę po ojcu, też nie jest najważniejszą rzeczą, kiedy idzie o moją osobę. - Odwróciła się i ruszyła, pomaszerowała, mówiąc ściśle, ku sali, w której sir William przechowywał swoje zbiory.

- Proszę poczekać, panno Layton. - Dogonił ją w trzech susach i zastąpił drogę. - To nie ja decydowałem o tym, że będziemy pracować razem.

- Ani ja, milordzie - odparowała. - Szczególnie po tym, jak próbowałeś ze mnie zrobić głupią gęś przed sir Williamem.

- Do diabła, ja... Z całą pewnością nie próbowałem! - zawołał. - Nie podobał mi się tylko krytycyzm sir Williama i chciałem go powstrzymać, to wszystko.

Abigail zaniemówiła na moment.

- Powstrzymać sir Williama?

- Owszem, powstrzymać. W moim przekonaniu dżentelmen nie powinien zwracać się tak do damy. Myślałem, że cię bronię, panno Layton, ale widzę, że moje dobre intencje spotkały się z nieprzychylnym przyjęciem.

- Ma się rozumieć! - Teraz to ona podniosła głos. - Po co miałabym odbywać taką daleką podróż, gdybym nie umiała odpowiedzieć na najprostsze pytania? Narażałabym się na wydatki, na niewygody morskiej przeprawy, gdybym nie mogła zaoferować sir Williamowi swojej wiedzy?

Porucznik spochmurniał, nadal nieprzekonany, potem spojrzał na marmur, który trzymał w ramionach.

- Nigdy dotąd nie spotkałem uczzonej damy. Moje siostry interesują się tylko tym, ile która ma adoratorów.

- Pan, jako syn para Anglii...

- Młodszy syn - dodał tę istotną korektę. - Tydzień po trzynastych urodzinach zostałem kadetem na okręcie króla jegomości i posłany na morze. Nigdy zresztą nie miałem głowy do nauki. Nie rozumiałem, na co to komu.

- Nie rozumiałeś, po co człowiek przyswaja sobie wiedzę starożytnych, studiuje zdobycze epoki klasycznej? - Oksfordzka panna po prostu była wstrząśnięta.

Wzruszył beztrąsko ramionami, złoty lok opadł mu na czoło.

- Otóż właśnie. Jaki niby płynnie pożytek z takiej wiedzy? Co innego bezpiecznie doprowadzić okręt do portu przy zachodnim wietrze albo strzaskać celnym wystrzałem długich dział maszt francuskiej fregaty. Nie warto ślęczeć nad zakurzonymi księgami starych filozofów. Co nie znaczy, żebym chciał sprawić ci despekt, panno Layton. Wcale nie.

Właśnie to uczyniłeś, pomyślała rozeźlona, musiała jednak przyznać, że w jego słowach nie było jadu, jedynie ignorancja. Jeśli miała być szczerą, zafascynowały ją zachodnie wiatry i długie działa.

- Powiedz mi zatem, milordzie, skoro znajdujesz moją wiedzę całkiem bezużyteczną, dlaczego próbowałeś mnie bronić przed sir Williamem?

- Dlaczego? - Wyszczrzył zęby. Przypominał teraz satyra wyobrażonego na stelli, którą dźwigał. - Łatwo na to odpowiedzieć. Musiałem, panno Layton, bo jesteś najwspanialszą damą, jaką spotkałem w swoim życiu.

- Och... - To wszystko, co była w stanie powiedzieć.

„Och...” i tylko tyle. Nikt nigdy jeszcze tak do niej nie przemawiał, żaden dżentelmen. W życiu!

- Tak. - Richardson odchrząknął i przełożył satyra z jednej ręki do drugiej. - Nie mówiłbym tego, gdyby to nie była prawda.

- Tak myślę, milordzie. - Była strasznie zakłopotana i zdecydowana skończyć z tymi banialukami. Jest przecież rozsądną panną, która mocno stąpa po ziemi, czyż nie? - Jeśli mamy uporać się z naszym zadaniem do świąt, jak życzy sobie sir William, powinniśmy natychmiast przystąpić do pracy.

- A jakże, panno Layton - przytaknął porucznik cicho. - Prawda, święta. Nie traćmy czasu.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Mów, co chcesz, panno Layton, ale ja twierdę, że tak się nie da.

Abigail odgarnęła włosy i posłała lordowi Richardsonowi w stopniu porucznika mało przychylnie spojrzenie. Czarna wełniana suknia lepiała się do ciała w popołudniowym upale, głowa rozboleła od wysiłku umysłowego koniecznego przy identyfikowaniu obiektów, palce zeszywniały przy sporządzaniu niekończących się notatek. Rano przystępowali do pracy we względnej zgodzie, ale z każdą mijającą godziną coraz mniej uprzejmi dla siebie, uświadamiali sobie coraz wyraźniej wzajemne braki w posiadanej wiedzy. Mówiąc dokładniej, Abigail uświadamiała sobie bezmiar ignorancji naznaczonego jej przez admirała pomocnika, bo też porucznik nie miał pojęcia, jak zabezpieczyć bezcenne zbiory sir Williama.

- Obiekty pochodzące z tego samego stulecia powinny być pakowane razem - tłumaczyła mu po raz setny. - W ten sposób uprościmy sortowanie kolekcji przy rozpakowywaniu w Londynie. Pamiętaj, milordzie, że mamy tu setki, tysiące dzieł. Pochodzące z czwartego wieku rzymskie brązy trzeba pakować razem z wazami z tego samego czasu, i tak dalej.

Porucznik kręcił głową.

- Jeśli zapakuje pani brązy razem z ceramiką, w Londynie będzie pani miała brąz oraz skorupy.

- Dlatego każdy obiekt musi zostać starannie owinięty w bawełnę.

- W ładowniach panuje wilgoć. Bawełna nasiąknie wodą i twoje obiekty zniszczą, panno Layton. Jeśli chcesz, zabiorę cię na okręt, zejdziemy do ładowni i sama się przekonasz, jakie tam panują warunki.

Wyprostowała się, energicznie wsparła dłonie na biodrach.

- Zdarzyło mi się już być na statku. Dziękuję. - Przypomniała sobie okropny rejs z Anglii do Włoch. - Całkiem mi wystarczy poprzednia obecność na pokładzie.

- Nędzny handlowy żaglowiec to nie to samo co „Vanguard” - oznajmił porucznik z uczuciem. - Co prawda ucierpiał trochę w ostatniej bitwie, ale to ciągle najpiękniejszy, najszybszy okręt w całej flocie królewskiej.

- Mówisz o nim, jakby był żywą istotą, a nie statkiem - zauważyła ze zdziwieniem.

- To okręt, okręt, panno Layton, żaden statek - poprawił ją z uśmiechem. - Rzeczywiście traktujemy nasze okręty jak żywe istoty.

Wcześniej zapytał ją, czy może zdjąć kaftan od munduru. Zgodziła się, dlaczego nie miałyby się zgodzić?

Zdjął kaftan, podwinął rękawy koszuli i teraz widok odsłoniętych przedramion porucznika nie pozwalał jej skupić się na pracy.

- Kiedy płynie pod pełnymi żaglami przy sprzyjającym wietrze, kiedy tnie dziobem fale, napięte liny takielunku śpiewają, wtedy rzeczywiście „Vanguard” zaczyna żyć - ciągnął Richardson. - Nie ma nic piękniejszego niż witać dzień na pokładzie, spoglądać na wschodzące słońce, czuć na twarzy słoną bryzę. Nic się z tym nie może równać, panno Layton.

Ledwie go słyszała. Wyglądał tak wspaniale, że słowa umykały jej uwagi. Uśmiechnięty, w opinających uda bryczesach, białej koszuli, opromieniony światłem neapolitańskiego popołudnia. Nawet jeśli nie rozumiała jego miłości do morza i okrętu, potrafiła przecież ją dostrzec, odczuć. Podobna pasja ogarniała ją, kiedy stykała się z wyjątkową, piękną rzeźbą. Dlatego z taką pieczołowitością zajęła się zbiorami sir Williama.

- Fale... Otóż to. Na wypadek sztormów nalegam, by wszystko owijać w bawełnę, milordzie - powtórzyła po raz kolejny, usiłując skupić się na pracy i nie zajmować więcej wdziękami porucznika. - Bawełna najlepiej zabezpieczy delikatne obiekty.

- Delikatne obiekty najlepiej zabezpieczą trociny.

Posłała porucznikowi twarde spojrzenie.

- Delikatne obiekty najlepiej zabezpieczy czujność kapitana. Niechże omija sztormową falę - stwierdziła autorytatywnie.

Porucznik westchnął ciężko. Tracił powoli cierpliwość.

- Może po prostu łać na wzburzone morze oliwę, oliwę, oliwę i jeszcze raz oliwę... Od Neapolu do samego Portsmouth. Wtedy pani rupiecie dopłyną do kraju najzupełniej bezpiecznie.

- No właśnie, czemu by nie? - odparła cierpko. - Każdy mój postulat wydaje ci się głupi, pozbawiony rozsądku...

- Co ja słyszę, pozbawiony rozsądku, panno Layton? - W drzwiach pojawiła się lady Hamilton. - Nie uwierzę, że ten przystojny młody człowiek mógłby szwankować na rozsądku.

- Trochę się poróżniliśmy, milady. Niewielkiego - pośpieszył z uspokajającym wyjaśnieniem porucznik.

- Doprawdy drobiazg - zawtórowała mu skwapliwie Abigail. Nie miała pojęcia, czy Richardson mówi szczerze, czy też znowu uparł się okazać galanterię. Tak czy inaczej wyratował ją z opresji, za co winna była mu wdzięczność. - Milady może zapewnić sir Williama, że praca postępuje doskonale.

- Miło słyszeć - powiedziała lady Hamilton z uśmiechem. - Przyszłam wymóc na was, byście kończyli na dzisiaj i przygotowali się do balu.

- Bal, milady? - W głosie porucznika zabrzmiała dobrze udana obojętność.

- A jakże! - zakrzyknęła lady Hamilton.

- Tydzień jeno miałam na przygotowania, ale podołałam. Bal urodzinowy dla admirała Nelsona, się wie.

Abigail nigdy nie była jeszcze na balu i wcale nie miała ochoty zmieniać tego stanu rzeczy.

- Proszę o wybaczenie, milady, ale praca...

- Nie będzie wybaczenia - oznajmiła lady Hamilton wesoło i rozpostarła zbyt duży wachlarz z kości słoniowej. - Potrzebujemy wszystkich ślicznych angielskich dam, jakie tu mamy.

- Zostawię panie, by uzgodniły plany. - Porucznik skłonił się i porwał swój mundur. - Muszę wracać na okręt.

- Zanim pan uciekniesz, obiecaj, że będziesz na balu, milordzie. Admirał, wiem to, oczekuje twojej obecności.

James skrzywił się mimo woli. Biedak miał taką nieszczęśliwą minę, że Abigail parsknęłaby śmiechem, gdyby nie czuła się podobnie.

- Proszę wybaczyć, milady, ale moje obowiązki...

- Twoim obowiązkiem, o czym doskonale wiesz, jest oddać należne honory naszemu bohaterowi, milordzie - oznajmiła lady Hamilton. - Oraz zapraszać damy do tańca. - Ujęła Abigail pod ramię. - Chodź, moja droga. Muszę się tobą zająć, byś mogła w pełnej gali wypłynąć na szerokie wody, jak by powiedzieli nasi przyjaciele żeglarze.

Abigail zerknęła na porucznika. Odprowadzał ją spojrzeniem tak pełnym współczucia, że niemal, ale tylko niemal wybaczyła mu upór w kwestii zabezpieczeń z bawełny.

Musiała się teraz uzbroić przeciwko atakowi lady Hamilton, która żwawo wiodła ją ku schodom.

- Doceniam pani troskę, milady, ale nie jestem osobą, która potrafiłaby znaleźć się na balu.

- Nonsens. - Wprowadziła ją do swojego saloniku sąsiadującego z sypialnią. Olbrzymie okna otwierały się na zapierającą dech w piersiach panoramę portu, można też było widzieć kotwiczące w zatoce okręty brytyjskie.

W saloniku czekała już krawcowa w wymyślnym kapelusiku budce i dwie szwaczki, jej pomocnice.

- Musimy pozbyć się tej okropnej żałoby. Będziesz piękna jak księżniczka. Piękniejsza nawet, bo ta neapolitańska nie grzeszy urodą.

Oszołomiona Abigail patrzyła, jak pomocnice krawcowej rozwijają bele muślinów, prezentują jedwabne wstążki, weneckie koronki. Mogła sobie wyobrazić piękne suknie szyte z tych delikatnych materii. I zawrotne ceny. Na jedną taką suknię musiałaby pewnie wydać połowę tego, co miała zarobić u sir Williama.

- Proszę wybaczyć, milady - znowu zaczęła przeproszać - ale nie stać mnie na...

- Kolejny nonsens - oznajmiła milady, biorąc do ręki różową wstążkę. - Zapłatę biorę na siebie i dość o tym. Wyglądasz jak czarna wrona, patrzeć przykro. Ojcu też by się to nie spodobało.

Abigail łzy napływały do oczu. Ojciec zawsze pragnął widzieć ją radosną i pogodną jak inne dziewczęta z sąsiedztwa, ale nigdy nie mieli pieniędzy na piękne suknie czy lekcje tańca, a kiedy zachorował, całkiem przestała myśleć o przyjemnościach.

- Nie płacz. - Lady Hamilton poklepała Abigail po ramieniu. - Myślę, że dość łez już wylałaś przez ostatni rok. Uśmiechnij się. Signora Teresa, coś wesołego dla młodej damy.

Krawcowa i jej pomocnice dosłownie rzuciły się na Abigail, przebierały ją w indyjskie muśliny i połyskliwe jedwabie, zatykały we włosy rajery, wplatały wstążki. Lady Hamilton sprawowała nad tym wszystkim komendę z taką pewnością, z jaką admirał Nelson musiał dowodzić flotą podczas bitwy u ujścia Nilu.

- Jeszcze jedno. - Lady Hamilton przewiązała suknię Abigail szarfą. Okalająca wysoki stan biała wstęga haftowana w błękitne kwiaty przełamała szczęśliwie ponurą czerń. - Chociaż tyle, dopóki signora Teresa nie dostarczy pojutrze twoich nowych sukien.

Abigail pokręciła głową.

- Nie chcę okazać się niewdzięczna, milady, ale to nazbyt wiele. Mój ojciec był profesorem uniwersytetu, a nie możnym panem. Nie godzi się czynić ze mnie teraz raptem damę.

- Cicho bądź. - Milady odczekała, aż Włoszki wyjdą, dopiero wtedy podjęła: - Coś ci muszę wytłumaczyć, tylko słuchaj mnie uważnie, panno Layton. - Wcześniejsze ożywienie zniknęło bez śladu, Emma przemawiała teraz poważnym, stanowczym tonem. - Chcę cię widzieć szczęśliwą. I pięknie ubraną. Jeśli miłe ci towarzystwo porucznika, to mnie pozostaje tylko się cieszyć. Zawsze sprzyjałam kochankom i zawsze będę sprzyjać. Lubię widzieć, kiedy w dwojgu ludzi budzi się magnetyzm serca.

Abigail spłoniła się. Od kiedy przekroczyła próg tego domu nic, tylko się płoniła.

- Pani bardzo dla mnie łaskawa, milady, ale przyjechałam tutaj pracować.

- Bardzo być może, widzisz jednak, że dzieje się także coś poza pracą. Czy twój lord porucznik opowiadał ci o bitwie?

- Nie wspomniał ani słowem o bohaterskich czynach i chwale Brytanii.

- Nie czekaj, że wspomni. - Lady Hamilton uśmiechnęła się smutno. - Tacy już oni są. Im cięższe toczą bitwy, tym mniej o nich mówią. A bitwa przy ujściu Nilu, mówił mi sir William, była jedną z najkrwawszych.

- Wszak odnieśliśmy wielkie zwycięstwo, czy nie tak?

- Tak, ale ogromnym kosztem moralnym. Dwa tysiące poległych po obu stronach. Jeden z okrętów francuskich eksplodował, jego załoga ginęła w męczarniach. Setki płonących żywcem ludzi. Ci, którzy przeżyli, nigdy nie zapomną koszmaru, który był ich udziałem. Wszystko jedno, czy to Anglicy, czy Francuzi. Jutro ranni zostaną przewiezieni z okrętów na ląd. Pojadę ich odwiedzić, chociaż widok tych nieszczęśników złamie mi serce.

Słuchała ze zgrozą słów Emmy. Jak porucznik może jeszcze się uśmiechać po tak straszliwej bitwie? Anglia i Francja od dawna były w stanie wojny, ale w

Oksfordzie jej się nie odczuwało. Abigail kształtowała swoje wyobrażenie wojny na Homerze i innych poetach starożytności. Bohaterskie czyny, wzniosłe deklamacje... ale ból, śmierć?

- Dlatego wydaje pani bal z okazji urodzin admirała, by nasi żołnierze na chwilę zapomnieli o koszmarze?

- Gdyby tylko o to szło. - Lady Hamilton zaśmiała się niewesoło. - Nie, moja droga. Jesteśmy bardziej uwikłani w wojnę, niż chcielibyśmy przyznać. Odnieśliśmy zwycięstwo w Egipcie, Anglia rozgromiła flotę Bonapartego, ale generał nadal dysponuje ogromnymi siłami na lądzie. Zagarnie całe Włochy, całą Europę, jeśli mu pozwolimy.

- Całe Włochy? - powtórzyła słabym głosem. - Neapol też? - O Europie bała się nawet pomyśleć.

- O tak, Neapol też. Mąż nigdy nie zaprosiłby cię, gdyby wcześniej wiedział o zagrożeniu, ale skoro już przyjechałaś, musisz być świadoma tego, co może się wydarzyć.

- Dziękuję, milady. - Och, dlaczego nie została w Oksfordzie, gdzie żyło się tak bezpieczniej - Ma pani rację, lepiej być świadomą niebezpieczeństwa.

- Rzecz oczywista! Teraz rozumiesz, dlaczego sir William chce jak najszybciej wyprawić cię do domu i dlaczego ekspediuje swoją kolekcję.

- Tak, milady. - Nie próbowała nawet udawać dzielnej. - Święta w tym roku... będą inne, prawda?

- Jeśli pojawią się Francuzi. Ich szpiedzy są wszędzie, więc musimy im pokazać, jacy potrafimy być odważni, dumni i niezłomni. Dlatego będziemy świętować z całym przepychem. Dlatego urządzamy bal na cześć admirała i jego ludzi. - Uniosła kraj szarfy, którą przewiązała suknię Abigail. - Widzisz tutaj dwie litery N. Nelson i Nil. Na balu wszyscy będą nosili takie szarfy. Choć tyle możemy uczynić dla naszych żołnierzy i dla Anglii.

- Dla Anglii - powtórzyła Abigail. Szarfa stała się czymś więcej niż kawałkiem kosztownego jedwabiu.

Inaczej patrzyła teraz na porucznika, zapomniała o sprzeczkach i swoim gniewie. Wstyd jej było okropnie, że tak się zachowywała wobec niego. Zasługiwał na szacunek. Przeprosi go przy najbliższej okazji. Musi być odważna, dumna, niezłomna... Jak powiedziała to lady Hamilton.

Co innego jej pozostawało?



ROZDZIAŁ CZWARTY

Następnego ranka James wstał bladym świtem, bo chciał być w galerii sir Williama pierwszy, zanim pojawi się Abigail. Chociaż obydwójce zasiedli wczoraj do kolacji z gospodarzami i admirałem, porucznik nie miał okazji zamienić z Abigail słowa na osobności. Gdy towarzystwo wstało od stołu i wszyscy przeszli do salonu, panna szybko uciekła do swojego pokoju.

Zobaczył swoje odbicie w okrągłym lustrze i poprawił niesforny kosmyk, który nieustannie opadał na czoło. Ostatniej nocy długo nie mógł zasnąć. Zastanawiał się, czy Abigail nie unika go rozmyślnie. Nie dziwiłby się, gdyby tak było. Niepotrzebnie spierał się z nią o sposób pakowania kolekcji. Traktował ją okropnie, komenderował i oczekiwał, że będzie posłuszna jego poleceniom, jakby była majtkiem na jego okręcie, a nie damą. Wstyd prawdziwy.

Dzisiaj się poprawi, obiecał sobie. Będzie starał się tłumaczyć swoje propozycje, zamiast wydawać rozkazy. Przyniósł nawet kwiaty. To najskuteczniejszy sposób, kiedy chce się ułagodzić gniew damy. Pamiętał, że fatyganci jego siostr zawsze przysyłali kwiaty, kiedy coś przeszkrobali, i efekt był niezawodny. Przyjrzał się bukietowi, który kupił na rynku: białe, egzotyczne kwiaty o gwiazdzistym kształcie, przybrane zielonym i przewiązane czerwoną wstążką. Podniósł bukiet i ostrożnie powąchał. Nie zdarzała mu się na morzu wdychać miłych zapachów, szczególnie gdy...

- Dzień dobry. - Abigail zatrzymała się w drzwiach, najwyraźniej zdumiona, że przyszedł tak wcześnie. - Ranny ptaszek z ciebie, milordzie.

Poderwał raptownie głowę. Czuł się raczej jak osioł przyłapany nad podskubywaniu kwiatów z klombu, niż „ranny ptaszek”.

- Przyzwyczailem się. Swoją wachtę zaczynam o czwartej nad ranem. To dla ciebie, panno Layton.

Podsunał jej kwiaty. Abigail uśmiechnęła się na ich widok promiennie, podeszła do Jamesa, ale zamiast odebrać bukiet, jęknęła cicho:

- Och, pobrudziłeś sobie mundur od tych kwiatów, milordzie.

Rzeczywiście. Cały przód ciemnobłękitnego munduru pokryty był żółtymi pyłkami.

Jedyny komentarz, który cisnął mu się na usta, nie nadawał się dla uszu damy.

- Zaraz zrobimy z tym porządek. - Abigail wyjęła chusteczkę z kieszeni, położyła Jamesowi dłoń na piersi, by przytrzymać materiał, i zaczęła czyścić zapyłony mundur. Nie mogła przy okazji nie czuć przyśpieszonego bicia serca dzielnego porucznika. - Już po kłopotcie - stwierdziła, podnosząc wzrok. - No nie! Nos też ubrudziłeś?

Nim zdążył zaprotestować, zaczęła niczym niańka delikatnie wycierać mu czubek nosa. Cofnął się gwałtownie i ponownie próbował podać jej nieszczęsne kwiaty.

- To dla ciebie, panno Layton - powtórzył. - Z przeprosinami za moje wczorajsze zachowanie.

- Jaki miły gest, milordzie. - Odebrała od niego bukiet, ale trzymała go z dala od siebie, żeby uchronić suknię. - Prawdę mówiąc, to raczej ja jestem winna przeprosiny. Chciałeś dobrze, a ja zaczęłam się kłócić jak najgorsza sekutnica i...

- Nie - przerwał jej stanowczo. - To ja się zachowałem okropnie, wręcz niewybaczalnie. Próbowałem ci rozkazywać.

- Miałeś najlepsze intencje.

- No nie wiem. - Odchrząknął zakłopotany, a przy tym rad, że panna się nie cofnęła, że stoi tak blisko. - Obiecuję, że to się więcej nie powtórzy. Skoro już się stowarzyszyliśmy...

- Słucham? - Szeroko otworzyła oczy.

- Nie miałem nic złego na myśli - stropił się lord porucznik. - Tak się mówi na morzu. Żeglarze stowarzyszają się. Razem siadają do posiłków w mesie, razem

pełnią wachtę... W tym sensie jestem twoim towarzyszem, a ty moją towarzyszką - brnął biedak dalej. - Towarzysz to przyjaciel. Siedzi obok ciebie przy stole, jest z tobą w czas bitwy. Ufasz mu całym sercem. To właśnie chciałem powiedzieć.

- Ach... - Spojrzała na kwiaty. - Wybacz, nie zrozumiałam. Nigdy nie miałam nikogo takiego. Nigdy z nikim nie pracowałam, poza ojcem oczywiście.

- Jesteś dla mnie jak siostra. Moich braci traktuję jak najserdeczniejszych towarzyszy, chociaż kiedy byliśmy dziećmi, ciągle się biliśmy między sobą.

Pokręciła głową, nie odrywając wzroku od bukietu.

- Nie mam braci ani sióstr. Matki nie pamiętam, umarła dawno temu. Jak sięgam pamięcią, byliśmy tylko my dwoje, ojciec i ja. - Odwróciła się gwałtownie, jakby uświadomiła sobie, że powiedziała więcej, niż zamierzała. - Poproszę kogoś ze służby, żeby wstawił je do wody.

- Wazonu nie trzeba będzie daleko szukać. Tyle tu różnych skorup. - Liczył, że ją sprowokuje, że spojrzy na niego, obruszy się swoim zwyczajem, ale stała nadal plecami do niego, sztywno wyprostowana. A niech to. Co znowu takiego zrobił? - No, no, nie ma się co boczyć. - Położył jej dłoń na ramieniu. - Powiedziałem, to dla mnie zaszczyt pomagać ci w pracy, panno Layton.

Wreszcie spojrzała na niego.

- Chcesz mnie pocieszyć, tylko dlatego tak mówisz.

- Nieprawda - powiedział, zanim zdążył pomyśleć. - To znaczy chcę, żebyś się rozpogodziła, ale nie z tej racji powiedziałem, co powiedziałem. Zawsze mówię tylko to, co naprawdę myślę. Uważam się za człowieka honorowego.

Uśmiechnęła się, choć porucznik miał mocne podejrzenie, że jest bliska łez.

- Jesteś więc prawdziwym człowiekiem honoru, milordzie?

- Staram się być. - Oby tylko się nie popłakała. Dość już smutków nosił w sercu. Starczy na całe życie. A bodaj i na następne.

- A wobec towarzysza zawsze.

- Zatem i ja obiecuję to samo. - Jej twarz rozświetlił cudny uśmiech, jaśniejszy, bardziej promienny niż słońce nad zatoką. - Coś mi się wydaje, że wszystkim nam trzeba się będzie stowarzyszać, dopóki nasze sprawy zatrzymują nas w Neapolu, milordzie

Też się rozpromienił, szczęśliwy, że panna chce go mieć za towarzysza.

- Kiedy tak, to bardzo proszę, nie nazywaj mnie więcej milordem - oznajmił przyjaźnie. - Dla ciebie jestem po prostu Jamesem Richardsonem, panno Layton.

- Nie mogę tak się zwracać do syna para Anglii. - Miała tak cudnie zgorszoną minę, że omal nie parsknęła śmiechem. - Nie przystoi, milordzie.

- Pozwolisz, żebym i ja zwracał się do ciebie po imieniu? Między towarzyszami jak najbardziej to przystoi.

Wahała się przez chwilę, przystoi, nie przystoi, wreszcie kiwnęła zdecydowanie głową.

- Masz rację, Jamesie. Między... między towarzyszami winna być poufałość. Jamesie...

- A jakże, Abigail. - Po tylu miesiącach wojennej zawieruchy jak rozkosznie było usłyszeć swoje imię wypowiedane przez śliczną pannę.

Lokajczyk przyniósł wazon i Abigail ułożyła w nim kwiaty.

- Ładnie, prawda?

- Coś jeszcze mam dla ciebie. - Wskazał sporą beczkę i zabębnił w wieko niczym w taraban. - Zamiast strzepić sobie język po próżnicy, lepiej ci pokażę, co miałem na myśli.

- Co jest w środku?

- Tylko to. - Zdjął dekiel, zanurzył dłoń w beczce i wyciągnął garść trocin. - To najlepsze zabezpieczenie dla zbiorów sir Williama. Może przyda się jeszcze owinąć każdą sztukę w cienkie płótno i już.

Dotknęła trocin, które trzymał w dłoni. Poczul jej palce na skórze i zareagował żywo jak jaki niedorostek. Co się z nim, u diaska, dzieje?

- Myślę, że to dobry sposób - zgodziła się Abigail, szczęśliwie nieświadoma doznawanych przez Jamesa sensacji. - Trociny nie naciągną tak wilgocią jak bawełna. Wczoraj już na to zwróciłeś uwagę, milordzie... Jamesie.

- Otóż to. - Wrzucił na powrót trzymane w garści trociny do beczki. - Nie potrafię skandować łacińskich fraz starego Cezara, jak ty, ale wiem, jak bezpiecznie przewozić na żaglowcu cenny ładunek.

- Zrozumiałe, kiedy kochasz to, co robisz. - Abigail wyprostowała się, zaplotła dłonie. - Nie miałam racji, okazując wczoraj takie lekceważenie dla twojej wiedzy i doświadczenia. Przepraszam, że tak nieładnie się zachowałam, prawdziwa jędza ze mnie. Wybacz mi, proszę. Powiedziałam, co leżało mi na sercu i teraz możemy już zostać prawdziwymi towarzyszami.

- Nigdy nie pomyślałem, że jesteś jędzą, ani przez chwilę.

- A jednak zachowałam się jak jędza, dlatego cię przeprosiłam. - Włożyła fartuch roboczy. - Jesteś oficerem w służbie króla i bohaterem.

James jakby zbaraniał.

- Nigdy nic takiego nie powiedziałem.

- Nie musiałeś. Wiem wszystko od lady Hamilton. - Uśmiechnęła się niewinnie, jakby nie zdawała sobie do końca sprawy z wagi wypowiedzianych słów. - Mówi, że bal z okazji urodzin admirała Nelsona wydawany jest również na cześć wszystkich tych, którzy odnieśli pełne chwały zwycięstwo w zatoce Abukir. A więc i na twoją cześć.

Patrzył na Abigail niewidzącym wzrokiem. Owszem, odnieśli zwycięstwo nad Francuzami, ale nie było w nim nic z chwały, a on nie był bohaterem. Krwawa, okrutna, nieprzewidywalna, oto jak jawiła się naprawdę ta bitwa jego oczom. Był świadkiem eksplozji, która rozniosła francuski okręt flagowy „Orient”. Najpierw pożar, potem ogłuszający huk i potężny, idący ku niebu słup ognia. Z obydwu stron zaprzestano walki i przyglądano się przez godzinę straszemu końcowi „Orientu”. Prawie tysiąc zabitych, ciała rozszarpane na strzępy wybuchem. Przez cały czas

trwającego od wieczoru do świtu ataku James wykonywał rozkazy, spełniał swój obowiązek i robił wszystko, by przeżyć kolejną godzinę, kolejną minutę. Gdzie tu mówić o chwale, o bohaterstwie?

- James? - zagadnęła cicho Abigail. - Dobrze się czujesz?

Wlepił w nią nieprzytomne spojrzenie. Do diabła, jak długo milczał? Jak długo pozwalał, by myślała o nim najgorsze rzeczy? Dlaczego, kiedy tak rozpaczliwie potrzebował słów, żadne stosowne nie przychodziły mu do głowy? Delikatnie dotknęła jego ramienia.

- Nic nie mów, jeśli nie chcesz. Lady Hamilton uprzedzała mnie, że tak może być.

- Czyżby? - zapytał głucho. - Co jeszcze mówiła?

- Żebym zapytała cię o święta, jeśli nie będziesz chciał mówić o bitwie.

- O święta? - zdumiał się. - Chcesz pytać mnie o święta?

- Tak. - Ujęła w dwa palce złote serduszko, które nosiła na szyi. - Dostałam je od ojca na ostatnie Boże Narodzenie, które obchodziliśmy razem. Powinno mi być smutno, że nie dożył już następnych świąt, ale tak nie jest. To serduszko przypomina mi szczęśliwe czasy.

James spojrzał na wisiorek. Ostatni podarunek ojca dla jedynej córki, symbol miłości do dziecka, z wygrawerowanymi inicjałami.

- Po raz pierwszy postanowiliśmy wtedy spędzić święta poza domem - ciągnęła stłumionym głosem. - Pojechaliśmy do Londynu, wynajęliśmy pokoje w pobliżu centrum. Chodziliśmy na spacer do ST. James Park, przyglądaliśmy się łyżwiarzom. Byliśmy w Tower, oglądaliśmy przedstawienie kukielkowe w Covent Garden. W pierwszy dzień świąt spadł śnieg. Poszliśmy do Westminster Abbey wysłuchać chóru, a na kolację zjedliśmy gęś z pieczonymi kasztanami, którą przyrządziła nasza gospodyni. Dzień przed Trzema Królami wróciliśmy do domu i wtedy ojciec dał mi to serduszko. Nigdy go nie zdejmuję.

Nie mógł oderwać wzroku od wisiorka.

- Od lat nie byłem w domu na święta. W zeszłym roku staliśmy akurat w pobliżu Gibraltaru, gdy moja najmłodsza siostra, Elisabeth, brała ślub. Nie znam młodzieńca, za którego wyszła. A teraz pisze mi, że spodziewa się dziecka.

- Musisz pamiętać wcześniejsze święta, zanim jeszcze poszedłeś na morze.

- O tak. Święta w naszym rodzinnym Carrington Woods, w Devonie... W Wigilię matka przybierała dom gałązkami świerkowymi. Codziennie urządaliśmy bale, aż do Trzech Króli. Zjeżdżali na nie sąsiedzi z całego hrabstwa. Choć byliśmy jeszcze dziećmi, rodzice pozwalali nam zostawać z gośćmi, dopóki sami nie chcieliśmy pójść spać. Matka wkładała klejnoty, chociaż zwykle nie nosiła ich na wsi. I godziła się tańczyć z ojcem skoczną gige, podkasując spódnice niby dziewczka czeladna, a nie pani hrabina. Nasze psy wpadały w szał, skakały koło niej, ujadając radośnie. - James zaśmiał się. Żywe były w pamięci wspomnienia tamtych balów. - Teraz wiem, że to poncz tak działał na wszystkich, ale wtedy myślałem, że ludzie weselą się, bo święta.

- A śnieg? - zapytała Abigail, wypuszczając z palców serduszko.

- Tak, zawsze było białe. I mieliśmy tradycyjne polano bożonarodzeniowe, które płonęło w kominku w wielkiej sali.

- Bracia przyjeżdżali na święta?

- A jakże. Przyjeżdżali na ferie, skorzy do psot. Kucharka i służące nie mogły się od nich opędzić. Niezłe potrafili dokuczyć. Jest nas czterech, ja najmłodszy. Najstarszy to Henry, potem idzie Michael, Marcus, wreszcie ja. I siostry, Maryanne, Barbara i Elisabeth. To dopiero załoga, prawda?

- Masz szczęście - powiedziała Abigail ze smutkiem. - Zawsze chciałam mieć braci i siostry. Musieliście mieć radosne święta.

- Tak. To był cudowny czas.

- On ciągle żyje w tobie, dopóki nosisz w sercu wspomnienia.

James zachmurzył się, nie chciał zdradzać głębi swoich odczuć.

- To też powiedziała ci lady Hamilton?

Abigail pokręciła głową i odruchowo poprawiła niesforny kosmyk, który wymknął się spod czepka.

- To już moje skromne przemyślenie. Nigdy nie przypuszczałam, że będę spędzać kiedyś Boże Narodzenie w Neapolu, pod palmami, u stóp wulkanu, nad zatoką pełną brytyjskich okrętów. Tak długo, jak pamiętam ostatnie moje święta z ojcem, każde kolejne będą napełniać mnie radością.

- Wierzysz, że ze mną może być podobnie? - zapytał James. - Dopóki będę pamiętał skoczne tańce mojej matki i bitwy na śnieżki, które urządzali bracia, mogę radować się w święta?

Zaczerwieniła się lekko.

- Nie śmiem odpowiadać. Zostawiam to tobie, milordzie.

- James. Mów mi James.

- James - powtórzyła cicho.

Stała o krok od niego, bliźutko. Jak by zareagowała, gdyby wziął ją w ramiona? Odepchnęłaby go czy pozwoliła się przytulić? Zrozumiałaby, dlaczego zapragnął ją objąć? Zrozumiałaby, co czuje, gdy on sam tego nie rozumiał? Zrozumiałaby, że to coś więcej niż zwykłe pożądanie, coś subtelniejszego, co zrodziło się z jej słów? Tak mądrze mówiła o Bożym Narodzeniu, o bitwie, o sobie...

- James?

- Pora brać się do pracy - mruknął. - Jeśli sir William chce wysłać kolekcję do kraju jeszcze przed świętami, nie mamy czasu do stracenia.

- A, porucznik lord Richardson - przywitał Jamesa admirał Nelson. - Siadaj, porozmawiamy chwilę.

- Dziękuję. - James usiadł w fotelu obok łóżka admirała.

W pokoju panował mrok. Zamknięto okiennice, zaciągnięto zasłony, by do wnętrza nie przedostawało się światło słonecznego popołudnia. Nelson nie miał się zbyt dobrze. Ocalałe oko ciągle było nadwrażliwe, rany odniesione w bitwie nadal

dokuczały. Starał się zachowywać dzielnie, zwiedzał Neapol z Hamiltonami, ale gdy migrena stawała się nie do zniesienia, chronił się w swojej sypialni. Dzisiaj wieczorem czekał go bal wydawany z okazji jego urodzin.

James patrzył na niego z troską. Zdawał się taki słaby, stary jak na swoje lata. Anglia nie mogła go stracić, on jeden był w stanie stawić czoło Francuzom na morzu.

- Powiedz mi, poruczniku, jak znajdujesz swoje nowe obowiązki. - Admirał zdjął kompres z czoła. - Miłe, jak się spodziewałem?

- Bardzo miłe, sir.

Nelson zachichotał, odsłaniając szczyrby po straconych zębach.

- Tak też myślałem. Ty jeden spośród moich oficerów, zważywszy na twoje pochodzenie, potrafisz docenić wytworną gościnę. Mam nadzieję, że pisałeś już do ojca?

- Tak, sir - odparł James z dumą. - Opisałem mu szczegółowo naszą wiktoria. Jest wielkim admiratorem floty królewskiej. Z pewnością będzie pokazywał mój list wszystkim znajomym w Izbie.

- Dziękuję, że pomyślałeś o tym. - Powszechnie było wiadomo, jak bardzo admirał tęsknił za tytułem. W skrytości ducha liczył, że po zwycięskiej bitwie parlament nada mu tytuł hrabiego. - Mam nadzieję, że nie pomijałeś własnych zasług, poruczniku?

- Gdzie należało, oddałem sobie sprawiedliwość - przyznał James. - Napisałem też, jak gościnnie podejmują nas lady Hamilton i sir William.

- To prawda, zgotowali nam serdeczne przyjęcie. - Admirał uśmiechnął się i James pomyślał, że to wzmianka o milady wywołała ten uśmiech.

Plotki, które powtarzali sobie oficerowie „Vanguarda” na temat Emmy i admirała, były niczym w porównaniu z tym, co James widział na własne oczy w rezydencji ambasadora. Lady Hamilton karmiła admirała, wybierając najdelikatniejsze kąski, siadała blisko niego, niemal na kolanach, odwiedzała go w

sypialni, kiedy odpoczywał, a wszystko to z błogosławieństwem sir Williama i przy nieświadomości biednej pani Nelson czekającej na męża w Anglii. Przez lojalność dla swojego admirała James pominął te szczegóły w liście do domu. Jeśli towarzystwo lady Hamilton mogło uczynić lżejszym ciężar, który wielki wódz dźwigał na swoich wątłych barkach, niech i tak będzie.

- Gościnność naszych gospodarzy i ich lojalność wobec Korony jest wprost niedościgła - ciągnął Nelson. - Dlatego chciałem, żebyś zajął się wyekspediowaniem kolekcji sir Williama do kraju. Jak postępuje praca?

- Dobrze, sir. Z pomocą panny Layton...

- Ta panna coś w ogóle wie? Zna się na czym? - przerwał admirał niecierpliwie. - Sir William twierdzi, że i owszem, ale podejrzewam, że to bardziej zasługa ładnej buzi niż przymiotów umysłu.

- Panna Layton posiada ogromną wiedzę - powiedział James, z trudem powstrzymując się od ostrej riposty, na którą oficer nie może sobie pozwolić wobec przełożonego. - Kolekcja sir Williama nie mogła trafić w bardziej powołane ręce.

- Znacznie więcej może trafić w jej ręce niż sama kolekcja, jeśli nie będzie uważać - zawyrokował admirał. - Sprawcie się jak najszybciej z pakowaniem i ekspedycją. Obiecałem sir Williamowi, że dopilnuję, by kolekcja bezpiecznie dotarła do Anglii.

- Panna Layton mówi, że zdążymy jeszcze przed Bożym Narodzeniem. - Wiele myślał o świętach po ostatniej rozmowie z Abigail. Nie tylko tych przeszłych, kiedy był małym chłopcem, ale i tych nadchodzących. Chciał sprawić, by był to szczęśliwy czas dla wciąż opłakującej ojca panny Layton.

- Święta - jęknął admirał i na powrót przyłożył kompres do czoła. - Biorąc pod uwagę wiadomości nadchodzące z północy, byłoby rzeczywiście dobrze, gdybyście zdążyli przed Bożym Narodzeniem. Nie chcę, żeby te cholerne skarby sir Williama trafiły w łapy Francuzów.

- Do świąt jeszcze trzy miesiące, sir. - Szmąt czasu, zdawałoby się, a przecież za krótko, by nacieszyć się towarzystwem Abigail.

- Francuzi nie wznowią inwazji wcześniej jak na wiosnę, jeśli w ogóle.

- Francuzi są już w Rzymie! - wybuchnął admirał. - Neapol, ten tchórzliwy Neapol powinien się przygotować z angielską pomocą na odparcie ataku.

Następnym naszym celem powinno być odzyskanie Rzymu. Takie są rozkazy Londynu. Im szybciej wyślesz zbiory sir Williama do Anglii, tym lepiej.

- A co z panną Layton? - z nieskrywaną obawą spytał James. - Powinna wrócić do kraju razem z kolekcją.

- Musisz zatem dopilnować, by tak właśnie się stało.

- Proszę wybaczyć, sir, ale jakiś tam statek handlowy...

- Nie znam się na statkach handlowych - burknął admirał. - Rozumiem, że panna jest ci miła, ale nie zapominaj, że to osoba cywilną i przyjechała do Neapolu z własnej nieprzymuszonej woli. Okręty Jego Królewskiej Mości mają ważniejsze zadania, niż przewożenie do kraju angielskich podróżniczek.

- Panna Layton nie może...

- Koniec dyskusji, poruczniku - uciął admirał.

Dla Jamesa był to dopiero początek.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Abigail ponownie zanurzyła dłonie w trocinach. Szukała małego zawiniątka, które musiało tam być, wiedziała, że jest.

- Niech się panienka pośpieszy - denerwował się służący. - Sir William chce w obecności króla i królowej podarować dzisiaj ten medalion admirałowi Nelsonowi.

- Jesteś pewien, że chodziło o ten właśnie medalion? Nie rozumiem, dlaczego polecił go zapakować, a teraz chce z powrotem.

- To nie nasza sprawa. - Służący zacisnął usta z pełną dezaprobaty miną. - Kazał mi czekać i będę czekać, dopóki panienka go nie znajdzie.

Mruknęła pod nosem coś, co w żadnym razie nie przystoi damie, odgarnęła włosy i zabrała się do przeszukiwania następnej beczki. Już miała wychodzić z galerii, a została tu dzisiaj dłużej, niż zamierzała, gdy pojawił się służący z poleceniem od sir Williama. Teraz była już poważnie spóźniona. Od trzech godzin powinna być na górze, w swoim pokoju, i przygotowywać się do balu, jej pierwszego balu.

Słyszała turkot podjeżdżających powozów, goście zaproszeni na kolację zaczęli przybywać jeszcze przed zachodem słońca. Pojawiali się już także ci, którzy otrzymali zaproszenia tylko na bal, a ona nadal gorączkowo przeszukiwała beczki, spocona, obsypana trocinami. Musi znaleźć ten piekielny...

- Jest! - Rozpoznała nieszczęsny medalion, kiedy tylko go dotknęła, ale na wszelki wypadek rozwinęła płótno i sprawdziła, czy na pewno znalazła, czego szukała. Zaledwie dzień wcześniej go katalogowała. - Juliusz Cezar w całej swej chwale.

- Panienka mi to da. - Służący porwał medalion i wybiegł z sali.

Abigail też się śpieszyło, chwyciła więc lichtarz z zapaloną świecą i klucz, zamknęła drzwi galerii i ruszyła do swojego pokoju.

Z sali balowej dochodziły dźwięki muzyki. Bał się zaczął... Prosiła Jamesa, by odszukał ją pośród gości, ale nie przypuszczała, że spóźni się tak bardzo. Nadał się za nią rozglądał, czy poniechał poszukiwań i tańczy z kimś innym?

- Signorina. - Pokojówka zerwała się z krzesła i dygnęła grzecznie na widok panienki. - Milady przysłała mnie, żebym pomogła panience przygotować się. Panienska musi wziąć kąpiel, przebrać się w suknię balową, na koniec trzeba ułożyć włosy... wszystkim się zajmę. - Wskazała dużą drewnianą balię ustawioną koło kominka. Na powierzchni wody, a jakże, pływały nawet płatki kwiatów.

Pokojówka zdjęła kociołek z haka nad paleniskiem i dołała wrzątku do stygnącej kąpieli. W innej sytuacji takie luksusy z pewnością zachwyciłyby Abigail, ale teraz myślała tylko o Jamesie.

- Jestem okropnie spóźniona. - Zaczęła rozpinąć suknię, nie czekając, aż dziewczyna ją wyreczy. - Musimy się pośpieszyć.

Pokojówka świetnie rozumiała Abigail, a może sama też chciała znaleźć się na dole, by móc zerknąć z ukrycia na bawiących się gości. Pomogła panience wykapać się, ułożyła włosy na żelazko i pomogła wdziać suknię dostarczoną tego dnia przez krawcową. Po kilkunastu miesiącach noszenia żałoby Abigail poczuła się jak motyl, który właśnie wydostał się z poczwarki. Wszystko było zwiewne, barwne, nowe, tylko złote serduszko pozostało na swoim miejscu. Dotknęła go lekko, jakby chciała przeprosić ojca, że zrzuciła żałobę.

Głęboko odetchnęła i odwróciła się do lustra.

- Panienska jest śliczna - rzekła z uśmiechem pokojówka. - Na pewno złamie panienska dzisiaj wiele serc.

Abigail zależało tylko na jednym sercu.

I wcale nie chciała go łamać, tylko... uradować.

Tak, tego pragnęła, uradować serce Jamesa, sprawić mu przyjemność.

Z bijącym sercem chwyciła rękawiczki i wachlarz, zbiegła na dół i wślizgnęła się do sali balowej bocznymi drzwiami.

Setki, po prostu setki gości, pomyślała strwożona. Tylko tego jednego, który był dla niej najważniejszy, nie mogła nigdzie dostrzec. Panowie kierowali już ku niej spojrzenia, taksowali od stóp do głów z wyraźną admiracją. O nie. Przybrała surową minę, która miała zniechęcić znawców kobiecej urody. Gdzie może być James?

Zawiedziona, ale pełna determinacji odważnie wstąpiła w ludzkie mrowie.

James po raz kolejny przeszukał wzrokiem salę. Słyszał, że w ambasadzie zebrało się prawie dwa tysiące gości, bo wszyscy chcieli uczcić czterdzieste urodziny admirała Nelsona oraz brytyjskie zwycięstwo w zatoce Abukir. Na podwyższeniu w końcu sali zasiedli król Ferdynand i królowa Maria. Po bokach pary królewskiej stali lady Hamilton i sir William, a na skromniejszym od królewskich fotelu siedział admirał, tak uhonorowany przez króla Ferdynanda. Minę miał zadowoloną, na piersi order nadany właśnie przez Jego Wysokość, a na szyi rzymski medalion, prezent od sir Williama. Istotnie Nelson mógł czuć się w pełni usatysfakcjonowany. Sala udekorowana była różnymi hasłami na cześć zwycięzcy i zwycięstwa, a wszystkie damy przepasały suknie jednakowymi szarfami z podwójnym N. Rzecz niezwykła, bo większość gości byli to neapolitańczycy i poza oficerami z brytyjskich okrętów trudno tu było zobaczyć Anglików.

Jamesowi najbardziej brakowało ślicznej i bardzo uczonej angielskiej panny. Przy kolacji siedział pośród neapolitańskich oficerów i ich żon. Już wtedy szukał wzrokiem Abigail. Dochodziła dziesiąta, a jej ciągle nie było. Obiecała przecież przyjść. Czyżby zmieniła zdanie? A może, rzecz jeszcze gorsza, zagarnął ją dla siebie jakiś neapolitański fircyk?

Raz jeszcze rozejrzał się po sali. Wzrok miał doskonały, na morzu potrafił wypatrzeć z największej oddali każdy statek, każdy okręt równie bezbłędnie jak marynarz tkwiący na bocianim gnieździe, a dzisiaj nie mógł dojrzeć w strojnym tłumie mądrej panny w żałobie...

- Poruczniku, milordzie! Tutaj!

Wszędzie rozpoznałby jej głos. Odwrócił się błyskawicznie, ale oto zamiast ubranej na czarno panny Layton, z którą pracował ramię w ramię przez cały miniony tydzień, dojrzał pannę tak bardzo odmienioną, że zaniemówił z wrażenia.

Perłowszara suknia o podwyższonym stanie, uszyta z najdelikatniejszego materiału, spowijała ją niczym poranna mgiełka. Głęboki dekolt odsłaniał więcej niż ukrywał. Nie miała żadnych klejnotów, tylko złote serduszko, z którym nigdy się nie rozstawała, ale też żadne klejnoty nie były jej potrzebne. Jediną ozdobę stanowiła wstążka wpleciona w kunsztowne, zebrane do tyłu i upięte wysoko anglezy. Pierwszy raz widział jej pyszne, kasztanowe włosy, bo zwykle chowała je pod czepkiem. Roześmiała się beztrąsko.

- Zaskoczony?

- Jakżebym nie miał być? - Nie mógł oderwać oczu od cudnego zjawiska. - Nigdy bym nie powiedział, że jesteś niepozorną myszką, ale też w życiu bym nie przypuszczał, że możesz... że możesz tak wyglądać.

Znowu się roześmiała, aż najbliżej stojący panowie zwrócili ku niej pełne zainteresowania spojrzenia. Zazdrościli Jamesowi, rzecz pewna, ale nie dbał o to. Ujął jej dłoń, jakby chciał podkreślić, że piękna panna należy do niego.

- To zasługa lady Hamilton. Powiedziała mi, że czas najwyższy skończyć żałobę. Wahałam się, ale wiem, że ojciec życzyłby sobie tego.

- Jakżeby inaczej. - Nie mógł uwierzyć w zmianę, która dokonała się w Abigail. Twarz promieniała, w całej sylwetce pojawiła się jakaś lekkość zwiewna, a jednak była to ta sama Abigail, która oczarowała go od pierwszego wejrzenia inteligencją i siłą ducha.

A teraz będzie musiał odesłać piękną pannę do kraju, jeśli nie chce narażać jej życia na niebezpieczeństwo.

- Podoba ci się, prawda? - zapytała bez cienia kokieterii. - Nigdy nie miałam równie wspaniałej sukni. A wszystko dzięki lady Hamilton. Chciałam ładnie wyglądać dzisiejszego wieczoru... Dla ciebie.

- Jesteś taka piękna - powiedział z uśmiechem. - Zawsze chciałbym być blisko ciebie.

- Och, sam chyba nie wierzysz w to, co mówisz, Jamesie. To bardzo miłe słowa, ale...

- Mówię prawdę.

Jakiś mężczyzna, który najwyraźniej miał już dobrze w czubie, zatoczył się lekko i potracił Abigail. Natychmiast uklonił się, nalaną twarz przyozdobił sprośny uśmiech.

- *Ah, ma bellissima donna. Sei fiu bella d'un angelo.*

- Zabieraj się precz, signor - warknął James, rycerz, opiekun, obrońca.

Przyciągnął Abigail do siebie i objął w talii. Niech tamten wie! - Pani jest ze mną. Pozwól, panno Layton, to nasz taniec. - Zanim mężczyzna zdążył zareagować, James poprowadził Abigail na parkiet.

- Co ten człowiek powiedział? - zaciekawiała się, spoglądając przez ramię w stronę Włocha. - Język tak mu się plątał, że nic nie zrozumiałam.

- Powiedział, że jesteś piękna, piękniejsza niż anioł - przełożył James z ponurą miną. Pewne włoskie zwroty każdy żeglarz znał na pamięć, ten akurat należał do nielicznych przyzwoitych. - Nie miał prawa zwracać się tak do ciebie. Jesteś oczywiście piękniejsza od anioła, ale tylko ode mnie winnaś to słyszeć. Zatańczmy, proszę.

- Och nie, James. - Abigail zatrzymała się raptownie.

- Dlaczego nie? - Ciągle był zagniewany na opoja, który potracił jego damę.

- Ja... nie umiem tańczyć. Ojciec uważał, że taniec to strata czasu i pieniędzy, pustota. Nigdy nie nauczyłam się tańczyć. Nie chcę przynieść wstydu ani tobie, ani sobie.

Odwrócił się bez słowa i wyprowadził Abigail na taras. Wieczór był ciepły, powietrze pachniało morzem, niebo skrzyło się gwiazdami, świecił chudziutki księżyc w nowiu.

- Myślałaś, że naprawdę chciałbym ci narobić wstydu? Sądziłem, że zdążyłaś lepiej mnie poznać. Zatańczymy tutaj, z dala od ludzi. Stań przede mną.

- James, proszę...

- Stań, Abigail, wsłuchaj się w muzykę. Policzę do czterech. Na cztery zrobimy krok w prawo. Słuchaj muzyki i pozwól się prowadzić. Panna, która zna łacinę i grekę, potrafi zatańczyć almandę. Uważaj, raz, dwa, trzy... i krok w prawo.

- James, proszę. - Zmyliła kroki i próbowała uwolnić dłonie. - Mówiłam ci, że nie potrafię. Nie mam drygu do tańca, ani, ani... Jestem beznadziejna.

- Nieprawda. Po prostu spróbuj. Nie patrz na stopy, tylko na mnie.

- Mam patrzeć na ciebie? - zapytała rozzłoszczona i wbiła w niego spojrzenie. Dziw prawdziwy, że mogła się w ogóle poruszać, tak skoncentrowała uwagę na twarzy Jamesa.

Tym razem udało się jej powtórzyć kroki, dalej poszło już znacznie łatwiej.

- No widzisz. Wiedziałem, że potrafisz tańczyć. A teraz musisz się lekko nachylić i przejść pod moim ramieniem.

Wykonała figurę taneczną z zaskakującą dla obojga gracją.

- Nie jestem jednak skończoną niezgrabą, prawda? - Oczy jej błyszczały, nabrała pewności siebie. - To łatwe, jak mówiłeś.

Zaśmiał się, ubawiony raptowną przemianą, która w pannie zaszła.

- Łatwe, bo masz doskonałego partnera - zażartował. - Byłoby znacznie trudniej, gdybyś musiała zatańczyć z którymś z tych neapolitańczyków.

- Piękne dzięki. Ale na bożonarodzeniowym balu twojej matki mogłabym zatańczyć?

- Absolutnie - zapewnił i cała radość prysła.

Ani w tym roku, ani w następnym, a pewnie i jeszcze następnym, nie mieli tańczyć na balach jego matki. Powinien jej powtórzyć, co mówił admirał o zagrożeniu ze strony Francuzów. Powinien powiedzieć, że zarezerwuje jej miejsce na statku płynącym do kraju. Powinien jak najszybciej wysłać ją do Anglii, gdzie mogła być bezpieczna. Musi się z nią rozstać.

- To zbyt skomplikowany taniec na bal świąteczny - powiedział tylko. - Goście są tak rozweseleni po paru kielichach, że mogą już tylko tańczyć skoczną gige.

- Musisz mnie jej nauczyć. Lady Hamilton zamierza wydać następny bal w święta. Chciałabym się przygotować. Bal na pewno będzie wystawny.

Powiedz jej, że musi opuścić Neapol przed świętami, masz doskonałą okazję. Powiedz to, dla jej własnego dobra. Będziesz samolubnym draniem, jeśli nie powiesz.

- Wszystko, do czego przyłoży rękę lady Hamilton, jest wystawne. - Jednak jest samolubnym draniem, do tego tchórzem, ale nie mógł się przymusić do wyjawienia prawdy. Jeszcze nie teraz.

Zaśmiała się, nieświadoma toku jego myśli. Muzyka w tej samej chwili zamilkła, taniec się skończył.

- Teraz powinnam dygnąć, prawda? - Skłoniła się wdzięcznie. - Dziękuję, milordzie

- I ja dziękuję, panno Layton. To prawdziwy zaszczyt, że mogłem udzielić ci pierwszej lekcji tańca.

- Naprawdę? - Rozchyliła zapraszająco wargi. Nie zdawała sobie sprawy z pokusy, na którą wystawiała swojego porucznika.

- Naprawdę - odparł stłumionym głosem. - Gdybyśmy teraz rzeczywiście bawili się na balu świątecznym, zastanawiałbym się z całych sił, jak cię zwabić pod jemiółę.

Szeroko otworzyła oczy, bardziej z ciekawości niż przez czujność. Nie odsunęła się na krok.

- Ale to nie Boże Narodzenie, a w Neapolu nie znajdziesz jemioli.

- Zatem muszę jakoś temu zaradzić, jak na dobrego żeglarza przystało. - Zdjął kaftan od munduru i narzucił jej na ramiona. - Nie chcę, żebyś się przeziębila, Abigail. Mamy surową zimę tego roku w Devonie.

Zrozumiała grę. Uśmiechnęła się szeroko i udając, że drży z zimna, otuliła się szczelnie kaftanem.

- Tyle śniegu napadało, że trakty nieprzejezdne. Przyjdzie nam spędzić święta tutaj, przy kominku, Jamesie.

- Nie mamy wyboru.

Pocałuję ją, postanowił. Nie wiedział tylko, czy Abigail przejrzała jego zamiary. Wychylił się, urwał gałązkę z sosny rosnącej przy tarasie i uniósł nad głową.

- Mamy za to mnóstwo jemioli.

Spojrzała na gałązkę, na Jamesa.

- Powinnam ci teraz życzyć wesołych świąt? - zapytała cicho.

- Najweselszych, jakie można sobie wyobrazić. Po to jest jemiola.

- Tak słyszałam.

James wiedział już, że Abigail się godzi, w każdym razie nie zaprotestuje. Niewiele myśląc, przygarnął ją do siebie i pocałował. Gałązka udająca jemiolę wypadła mu z dłoni, ale żadne z nich się tym nie przejęło. Nigdy jeszcze tak nie całował żadnej kobiety, ale też nigdy nie spotkał kobiety tak godnej pożądania jak Abigail Layton.

- Och, James - westchnęła, kiedy przestali się całować. - Nie wiedziałam, że tak właśnie zamierzasz mnie rozgrzać.

Roześmiał się.

- Wiem, Abbie.

- Abbie? - powtórzyła. - Żaden pan nigdy się tak do mnie nie zwracał.
- A mnie żadna pani tak jeszcze nie całowała. - Przesunął delikatnie palcami

po jej policzku.

- To wszystko przez tę jemiołę.
- Albo taniec tak podziałał.
- Może mój nauczyciel rzucił na mnie urok. - Uniosła lekko głowę. -

Powinniśmy spróbować jeszcze raz, żeby się przekonać.

- Wesołych świąt, Abbie. - James nachylił się. - Wszystkiego najlepszego...
- Panno Layton... Poruczniku lordzie Richardson - przerwał im pocałunek ani

trochę zmieszany lokaj. Miał wiadomość do przekazania, zatem powinien ją przekazać. - Lady Hamilton chce widzieć państwa oboje.

- Musimy iść, Jamesie. - Abigail uwolniła się z jego objęć. - Powinam była zamienić z nią słowo, ale zajęłam się szukaniem ciebie. Teraz będzie wszystko wiedziała. Wszystkiego się domyśli.

- I cóż z tego? - Zdjął mundur z jej ramion.

Biedna Abbie wyglądała jak kobieta, która przed chwilą była całowana i sama całowała, nie pomogło poprawianie włosów, wygładzanie sukni. Miała rację, lady Hamilton bez trudu odgadnie prawdę. Wszyscy łącznie dojrzą przemianę, która się dokonała w uczonej pannie Layton.

- Całować się to żaden grzech.
- Ale ja nie po to przyjechałam do Neapolu, żeby...
- Zostań tu ze mną jeszcze przez chwilę, Abbie. Nikt nie zauważy w tym

tłumie.

Wahała się przez chwilę, w końcu jednak pokręciła głową.

- Nie mogę. Nie możemy. Wiesz o tym doskonale.

Wiedział. Służba we flocie królewskiej nauczyła go dyscypliny, nawet jeśli wdrożone poczucie obowiązku miało skrócić rozkoszne sam na sam z Abigail.

Ucałował wewnątrz jej dłoni.

- Chciałbym znowu spotkać się z tobą, ale nie przy pracy, nie w galerii sir Williama. Nie uwolnisz się już ode mnie. Chcę cię widzieć jutro, pojutrze i popojutrze. To dopiero początek, Abbie.

Pocałowała go w odpowiedzi.

- Tak, tak - szepnęła.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Abigail nie zdziwiła się ani trochę, gdy następnego ranka przyszło jej samotnie siadać do śniadania. Na balu dotrwała niemal do samego końca, ale kiedy leżała już w łóżku, miała wrażenie, że zabawa trwa nadal w najlepsze. W rezydencji panowała absolutna cisza, dom spał jeszcze, jak to bywa po hucznej nocy.

Rozumiała, że domownicy odpoczywają, leczą ból głowy, ale była zdziwiona, że nie widzi Jamesa. Bal opuścił wcześniej niż ona, mówiąc, że musi być na okręcie. Prawie nie pił poprzedniego wieczoru, może wszystkiego jeden kieliszek wina.

Niewiele zjadłszy, odsunęła talerz i wstała. Najwidoczniej jakieś obowiązki zatrzymały Jamesa na „Vanguardzie”. Trudno, pod jego nieobecność może przecież pracować nad katalogiem.

- Dzień dobry, panno Layton. - W pokoju śniadaniowym pojawił się sir William w towarzystwie Jamesa. Obaj mieli podejrzenie poważne, zatroskane miny. - Cieszę się, że zjadłaś już śniadanie, bo będziemy potrzebowali twojej pomocy, i to jak najprędzej. Proszę tylko zabrać z sobą notatki. - Spojrzał na Jamesa. - Wracam na dół, przyprowadź tam zaraz pannę Layton, poruczniku.

- Co się stało? - zapytała, kiedy sir William wyszedł. - Dzieje się coś złego? Jakież niepokojące wieści? Czy Francuzi...?

- Nie, Francuzi nie weszli do Neapolu, tyle mogę ci powiedzieć, ale nic nadto. Nigdy jeszcze nie widziała u niego tak posępnego wyrazu twarzy. Wolą już o nic więcej nie pytać. Tak musiał wyglądać w trudnych chwilach na pokładzie swojego okrętu. Drżącą dłonią otworzyła drzwi galerii i odnalazła swoje notatki.

- Włóż też fartuch. - Spojrzał na jej białą, muślinową suknię. - Czarna byłaby stosowniejsza, ale nie ma czasu na przebieranie się.

Wąskimi, krętymi schodami dla służby zeszli do piwnic i mrocznym korytarzem dotarli do pomieszczenia pełnego skrzyń i beczek jak te, do których pakowali zbiory sir Williama.

Dwaj służący pod nadzorem ambasadora otwierali właśnie jedną ze skrzyń. Ledwie zdjęli wieko, sir William wyjął z niej bogato zdobiony, wysadzany rubinami kielich.

- Jesteś wreszcie, panno Layton. Piękna rzecz, prawda? - zagadnął, podając jej kielich.

- Zupełnie niepodobna do obiektów z pana kolekcji, milordzie. To musi być jakiś piętnasty, szesnasty wiek.

- Możesz umieścić ten kielich w swoim katalogu?

- Oczywiście. - Abigail omiotła spojrzeniem skrzynie i beczki. - Jeśli mam skatalogować wszystko, co tu się znajduje, prace bardzo się przeciągną.

- Podwoję honorarium, to oczywiste - zapewnił sir William. - Chodzi tylko o czas.

- Skończyłabym pełen katalog najwcześniej wiosną.

- Wcześniej, znacznie wcześniej. Zapłacę potrójne, poczwórną za twoją pracę.

Nie słuchała, przyglądała się grawerunkowi na kielichu.

- To królewskie oznakowanie, prawda?

- Proszę odpowiedzieć, sir Williamie - zażądał James. - Panna Layton ma prawo znać prawdę i odmówić.

- Widzę, że masz obrońcę w poruczniku, panno Layton. - Sir William uśmiechnął się. - Bardzo dobrze. Te skrzynie zawierają cenne obiekty należące do rodziny królewskiej. Transportowano je tutaj nocą podziemnymi przejściami. Po kilka przedmiotów, żeby nikt w pałacu nie zauważył ubytków. Dla bezpieczeństwa trzeba je chwilowo włączyć do mojej kolekcji.

- To rodzaj podziękowania za to, że król pozwolił naszej flocie kotwiczyć w zatoce - dodał James. - I że królestwo rezygnuje z neutralności, skłaniając się na naszą stronę.

- Mniej więcej - przytaknął sir William.

- To królowa Maria Karolina niepokoi się, że królewska własność może wpaść w ręce Francuzów. Jej siostra była żoną biednego Ludwika. Lady Hamilton uczyniła wszystko, by zapewnić Anglii przychylną królowej. Zręczna z niej dyplomatka, musicie przyznać.

Na Abigail opowieść o zabiegach lady Hamilton nie wywarły większego wrażenia.

- Jeśli Francuzi wejdą do Neapolu, angielski statek z królewskimi klejnotami i pańską kolekcją wypłynie bezpiecznie z portu...

- Do świąt musimy uporać się ze wszystkim, dlatego proszę cię o pomoc i o pośpiech, panno Layton.

- Możesz odmówić, panno Layton - powiedział z naciskiem James. - To wykracza poza pierwotną umowę. Możesz zażądać powrotu do Anglii, zanim zagrożenie stanie się rzeczywiste. W takim razie sir William zapewni ci bezpieczny powrót.

- Nie! - zawołała przerażona, że miałyby się z nim rozstać. - Mam zobowiązania, muszę dokończyć pracę, którą obiecał wykonać mój ojciec. Moja reputacja zawodowa ległaby w gruzach, gdybym teraz wyjechała.

- Obawiam się nadto, że nie zdołam zapewnić pannie Layton bezpiecznej przeprawy - oznajmił ambasador bez cienia żalu. - Hiszpania sprzymierzyła się z Francją przeciwko Anglii. Możemy już tylko liczyć na Rosję i Austrię, a ja nic nie mogę gwarantować.

- Powinien pan być wcześniej odesłać do domu pannę Layton - wybuchnął James. - Ale dla pana ta przeklęta kolekcja jest ważniejsza niż bezpieczeństwo damy.

- Zapominasz się, milordzie - zauważył spokojnie sir William. - Módl się raczej, by panna Layton ukończyła swoją pracę i zasłużyła sobie na powrót do kraju na pokładzie jednego z waszych wspaniałych okrętów.

- Przyjmuję pana propozycję, sir Williamie - wtrąciła Abigail. - Postaram się ukończyć katalog najszybciej, jak to możliwe.

Wbiła wzrok w złoty kielich. Tkwiła w pułapce wojny, która jej nie dotyczyła. Nawet jeśli spełni prośbę sir Williama, nie będzie to oznaczało, że kiedykolwiek jeszcze ujrzy Anglię. Wiedziała, że jest kimś ważnym dla Jamesa, że mu na niej zależy. Odważył się sprzeciwić sir Williamowi, stając w jej obronie.

- Panno Layton, nie musisz... - odezwał się.

- A jaki mam wybór? - zwróciła się do niego, powstrzymując łzy. - Chodźmy. Jeśli mam skończyć do świąt, musimy brać się do roboty.

- Dobrze powiedziane - ucieszył się ambasador i wrócił do przeglądania zawartości skrzyń.

- Świąta - powtórzył James z goryczą. - Co to będą za świąta, Abbie?

- Dla nas najszcześniejsze, jakie można sobie wyobrazić. Dopóki jesteśmy razem, możemy ufać, że to będą piękne świąta.

- Odpłyną o świcie, a mnie nie będzie na pokładzie. - James stał na tarasie i patrzył na angielskie okręty gotujące się do opuszczenia zatoki.

Nastał listopad, a z nim chłodne wieczory, nawet tutaj, w Neapolu.

- Nie zdążysz poczuć ich braku. Przewiozą tylko wojska króla Ferdynanda do Livorno i wrócą.

- Być może. Niemniej dziwnie pomyśleć, że odpływają beze mnie.

Dla Jamesa ostatnie tygodnie były w ogóle dziwne. Król Ferdynand, pod presją Hamiltonów i Nelsona, poniechał neutralności i zamierzał odbić Rzym z rąk Francuzów. Miasto ogarnęła fala patriotycznego uniesienia, żegnano żołnierzy

odpływających do Livorno, skąd pod wodzą doświadczonego austriackiego generała mieli pomaszerować na odsiecz Wiecznemu Miastu.

Dumna flota brytyjska przemieniła się w konwój do przerzucania armii, zaś sam James, nieustraszony w bitwie, tkwił trzeci miesiąc na ładzie i niby to pomagał Abigail, ale tak naprawdę strzegł jej jak jaki gwardzista przyboczny.

Od momentu, kiedy po raz pierwszy postawił nogę na okręcie, nie spędził tak długiego czasu na ładzie, w dodatku w towarzystwie kobiety. Mógł być gwardzistą pięknej panny, bardzo chwalił sobie obecne obowiązki i poczytywał za zaszczytne.

Kiedy pojawiał się na „Vanguardzie”, koledzy pokpiwali, że wiedzie rozpustne życie, tymczasem rzeczywistość przedstawiała się bardzo prozaicznie: praca, praca i ani krzty rozpusty.

Abigail za wszelką cenę chciała skończyć przed świętami. Całe dni spędzała na katalogowaniu obu zbiorów sir Williama oraz królewskiego, James pomagał, jak umiał, co polegało głównie na pośpieszaniu powolnych neapolitańskich tragarzy.

Żadne z nich nie potrafiło przewidzieć, jak potoczy się ich znajomość, kiedy już cenne zbiory odpłyną do Anglii. Zresztą woleli o tym nie myśleć.

- Popatrz, jak rozjarzył się Wezuwiusz. - Abigail wskazała głową wulkan. - Lady Hamilton mówi, że w święta urządzi nam fajerwerki, jakby wiedział, że to całkiem specjalna okazja.

- Sympatyczny potwór. Chciałbym to widzieć. Może rzeczywiście trzeba się przygotować na świąteczny pokaz ognia i iskier buchających z krateru.

Abigail zniknęła na moment i wróciła na taras z niewielką paczuszką.

- Skoro mowa o świętach... To dla ciebie. Zobaczyłam ten drobiazg i od razu pomyślałam o tobie.

James spochmurniał.

- Nie wychodzisz chyba sama z domu? - W mieście było coraz bardziej niebezpiecznie, panowało rozprężenie, roiło się od wszelkiej maści opryszków, nie

brakowało szpiegów francuskich, wisząca w powietrzu wojna nie sprzyjała spokojowi.

- Wiesz, że nie wychodzę. Jakiś handlarz zapukał do drzwi i kucharz go wpuścił.

- Kucharz wpuściłby samego Bonapartego, gdyby ten miał coś do sprzedania.

- Rozwinął papier i pokazała się pięknie inkrustowana szkatułka.

- Jaka ładna rzecz!

- To pozytywka, Jamesie! Trzeba ją nakręcić i unieść wieczko, wtedy gra.

Postąpił wedle wskazówek i rozległa się stara angielska melodia „Greensleeves”, zaledwie kilka nutek, ale rozpoznał ją od razu. Na melodię „Greensleeves” śpiewało się kolędę „Co to za dzieciątko”, ale nie tylko, bo ta radosna melodia towarzyszyła ludziom w Anglii od wielu już wieków.

- Możemy udawać, że jesteśmy w Carrington Woods, tyle że w Devonie nie ma chyba wulkanów.

- Ano nie ma. - Był głęboko wzruszony. Tylko Abigail mogła dać mu taki prezent. Tylko ona wiedziała, że to jego ukochana melodia, która zawsze kojarzyła mu się z Bożym Narodzeniem w domu. - Matka nigdy by na to nie pozwoliła.

- Ale wynajęła na dzisiejszy wieczór muzyków, którzy dotarli tu mimo śniegu. Grają „Greensleeves” na specjalną prośbę twojej matki. Grają dla jej dzielnego syna, zwycięzcy w bitwie na Nilu, który przyjechał do domu na krótki urlop. -

Uśmiechnęła się i dygnęła.

- Mogę prosić do tańca, milordzie?

- Przebojowa z ciebie dama, kiedy porywasz dżentelmena w tany - zażartował.

Gdy muzyka umilkła, zatrzymali się i trwali przez chwilę nieruchomo.

- Pamiętasz moją lekcję tańca - powiedział cicho.

- Nigdy nie zapomnę. - Rozchyliła usta do pocałunku.

- Och, Abbie, Abbie - westchnął James. - Moja Abbie.

Kiedy się odsunęła, dojrzał w jej oczach niepewność i ból.

- Myślałam... - zaczęła, chwytając z trudem oddech. - Myślałam, że przy melodii z pozytywki będę cię mogła całować, całować... Że będę myślała o naszych wspólnych świętach. Bóg mi dopomóż, nie mogę. Boję się, że nie mamy przyszłości, tylko przeszłość. Że nic nas nie czeka i pozostaną nam jedynie wspomnienia.

Odwróciła się, by ponownie nakręcić pozytywkę.

James objął ją w pól i pocałował w kark.

- Losu nie odmienię, ale przysięgam, że uczynię wszystko, co w ludzkiej mocy, żebyśmy mieli przyszłość, bo cię kocham.

Abigail milczała z pozytywką w dłoni.

- Kocham cię, Abbie - powtórzył. - Nigdy nie powiedziałem tego żadnej kobiecie. I niech tak zostanie. Nic nie odmieni mojej miłości do ciebie, cokolwiek się stanie, jakkolwiek potoczy się nasze życie.

- I ja cię kocham. - Zarzuciła mu dłonie na szyję i wtuliła twarz w jego ramię.

- Kocham cię nad życie.

Muzyka dawno umilkła, a oni trwali nadal w uścisku, złączeni na zawsze.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Koniec. - Abigail odłożyła pióro teatralnym gestem. - Wszystko skatalogowane, policzone, spakowane. Teraz tylko pozostaje załadować beczki na „Colossusa” i kolekcja popłynie do Londynu.

- Już się tak nie przechwalaj, panno Layton - niby to zganił ją James, tak samo jak ona szczęśliwy, że uporali się z zadaniem na czas. - Pamiętaj, że co noc napływają nowe precjoza z pałacu królewskiego.

- Ach, to już drobiazg w porównaniu z kolekcją sir Williama. Do świąt jeszcze całe dwa tygodnie, a praca skończona, Jamesie!

Nie była to jedyna dobra nowina. Admirał Nelson otrzymał tytuł barona i dożywotnią rentę. Wojska króla Ferdynanda wyparły Francuzów z Rzymu i zajęły miasto, czekano już tylko na powrót papieża. Neapol szalał z radości i dumy. Wszystkim wydawało się, że nie ma rzeczy niemożliwych.

James podzielał powszechny entuzjazm, tym bardziej że admirał zapewniał go, iż niedługo powinien objąć dowództwo któregoś z okrętów. Było mu wszystko jedno którego, ważne, by mógł pokazać, ile jest wart i godnie służyć Anglii. Szczególnie cieszyło go, że kapitanowie mogli zabierać na pokład swoje żony. Niewiele kobiet decydowało się znosić trudy życia na morzu, ale też niewiele było kobiet tak odważnych, mądrych i zaradnych jak Abigail Layton. Nic jej jeszcze nie powiedział, bo awanse we flocie to rzecz niepewna, ale marzył o tym, to był jego cel, najpiękniejsza niespodzianka na Boże Narodzenie dla nich obojga.

Miał jeszcze jedną niespodziankę, znacznie skromniejszą, ale taką, która mogła sprawić radość Abigail.

Wskazał jej zamknięty notes.

- Co to za papier wystaje ze środka? Nie możesz mówić, że skończyłaś pracę, kiedy nie wszystko masz uładzone.

- Nie mam pojęcia, co to takiego. Wiesz, jak bardzo dbam o porządek.

Przysłonił usta dłonią, by ukryć uśmiech, i przyglądał się Abigail. Wyjęła kartkę, przeczytała i otworzyła szeroko oczy.

- Przygotowujesz jakąś niespodziankę dla mnie w najbliższą niedzielę?

Powiedz, proszę, co zamierzasz?

- Jeśli powiem, to już przestanie być niespodzianką.

- Jak nie powiesz, nie zgodzę się nigdzie z tobą jechać.

- To zabiorę cię siłą. Poprosiłem admirała o dzień wolny. Nie zmienię planów tylko dlatego, że panna mnie nie słucha. Mogę powiedzieć ci tylko, że obojgu sprawi nam to prawdziwą radość. To ma być przyjemność, nie katorga. Pamiętam, jak mówiłaś, że być może mamy tylko wspomnienia i żadnej przyszłości przed sobą. Chciałem ci pokazać, że może być inaczej.

- Ale nie zdradzisz, co to takiego?

- Mogę powiedzieć tylko tyle, że zbliża się Boże Narodzenie. Niech to ci wystarczy.

- Boże Narodzenie, które spędzimy razem. To mi w zupełności wystarczy.

- Panno Layton, chciałam zamienić z tobą słowo.

Abigail zatrzymała się na schodach niewielkiego kościoła protestanckiego, by poczekać na lady Hamilton. Nie spodziewała się spotkać tutaj Emmy, w każdym razie nie o tak wczesnej porze.

- Piękne nabożeństwo, prawda? - Emma uniosła woalkę. - Wielebny Dowling nie ma już tej gromadki wiernych, co jeszcze niedawno. Puciekali mu do Londynu ze strachu przed Francuzami.

Abigail była myślami zupełnie gdzie indziej. Prawdę powiedziawszy, niewiele obchodziły ją pustki w kościele. Zabrała się razem ze służącymi z ambasady na najwcześniejsze nabożeństwo, żeby potem mieć cały dzień dla Jamesa. Nie zdradził jej, co przyszykował, więc niecierpliwiła się okrutnie ciekawa niespodzianki.

- Wrócisz ze mną, moja droga?

- Dziękuję. - Zaskoczyła ją nieco łaskawa propozycja lady Hamilton. - Będzie mi bardzo miło.

- Mnie również, mnie również. Ostatnio rzadko mam okazję cieszyć się twoim towarzystwem. - Abigail nie wiedziała, co milady ma na myśli, ale nie czekała długo, bo ledwie powóz ruszył, padło jasno sformułowane pytanie: - Richardson bardzo ci jest bliski? Jesteście jak papużki nierozłączki, zawsze razem. Rozumiem, można się mieć ku sobie, czuć do siebie słabość, ale żeby nie odstępować jedno drugiego na krok...

- Proszę wybaczyć, milady, nie wiem co powiedzieć - wyjąkała czerwona jak piwonia Abigail. - Jeśli zawiodłam, nie spełniam pokładanych we mnie oczekiwań, dlaczego...

- Nonsens - przerwała jej lady Hamilton, wykonując zamaszysty gest dłonią, jakby odsuwała na bok obiekcje Abigail. - Nie zawiodłaś ani trochę. Sir William uważa, że dokonałaś rzeczy prawdziwie wielkiej, kiedy idzie o jego kolekcję. Dlatego właśnie martwi mnie ta twoja bliskość z Richardsonem.

- Ja nazwałabym to przyjaźnią. Tak, darzymy się przyjaźnią i wzajemnym szacunkiem - oznajmiła Abigail zdecydowanym tonem, który nie brzmiał ani trochę zdecydowanie.

- I tu właśnie pies pogrzebany. Widzę przecież, jak patrzycie na siebie. Widzę te jego głodne, tęskne spojrzenia. Flirt, mała *l'aventure*, tak, jak najbardziej, ale to... to mnie niepokoi, panno Layton. Jesteś bardzo uczona, ale o życiu wiesz tyle co nic. Widzisz, twój piękny porucznik poumizga się do ciebie, będzie cię czarował i nadskakiwał, ale ożeni się z tą, którą mu papa wskaże. Może ci opowiadać różności, ale nie pójdzie z tobą do ołtarza. Może zapewniać cię o swojej miłości, mówić, żeś całym jego światem, ale wkrótce odpłynie na swoim okręcie i zostawi cię z brzuchem. Greka i łacina nic ci nie pomogą.

Abigail znowu się spłoniła.

- Porucznik lord Richardson nie jest taki, milady. Ja to wiem. Nie obszedłby się ze mną tak... tak okrutnie.

- Nie wierz w to, panno Layton - powiedziała lady Hamilton surowo. - Jesteś najmądrzejszą dziewczyną, jaką znam, więc błagam, nie popełnij głupstwa. Byłam młodsza od ciebie, kiedy pewien dżentelmen obiecywał mi wszystko, a została mi po nim jeno nieślubna córka.

- Och, jakie to smutne - zawołała Abigail.

Słyszała nie raz o pannach zwiedzionych przez kochanków, ale nigdy nie poznała żadnej, i oto miała przed sobą jedną z nich, teraz wielką damę, zaprzyjaźnioną z królową żoną angielskiego ambasadora.

- Tak mi przykro.

- Nie chcę twojego współczucia, moja droga. Mówię ci o tym, byś wiedziała, jaką cenę trzeba płacić za nierozważną miłość. Kieruj się rozumem, nie porywami serca, o to tylko cię proszę Obiecasz?

- Nie, milady, nie mogę - Abigail spuściła wzrok. - Nie mogę składać obietnic, których nie dotrzymam.

- Och, moje dziecko...

- Proszę wybaczyć, milady, ale powiem, co myślę. Kocham go, kocham całym sercem i całą duszą. Może to jedyna miłość, innej już nie spotkam na tym szalonym, ogarniętym wojnami świecie? Może utonę, wracając do kraju, albo zginę od francuskiej kuli i nigdy się nie dowiem, co to znaczy kochać?

- Zatem spóźniłam się - westchnęła lady Hamilton. - Nie życzę ci, by spotkał cię los podobny do mojego, ale cokolwiek się zdarzy, wiedz, że masz moją przyjaźń.

- Zawsze będę o tym pamiętać, milady. - Abigail nie próbowała powstrzymać łez. - Pani zawsze była dla mnie taka dobra... Nie myślałam, że się zakocham, ale tak się stało i nie żałuję

- A oto i twój najmilszy. Nic dziwnego, że tak bardzo go kochasz - szepnęła lady Hamilton, kiedy powóz zatrzymał się przed rezydencją.

Abigail od razu dojrzała Jamesa. Czekał na nią na dziedzińcu przy niewielkim powoziku przystrojonym wstążkami i dzwoneczkami.

- Szkoda, że nie unikniesz zawodu. Pamiętaj, jak wielką cenę będziesz musiała zapłacić.

Niewielka łódka mknęła chyżo po wodach zatoki. Abigail nigdy jeszcze nie płynęła takim maleństwem, całe jej żeglarskie doświadczenie sprowadzało się do jednej morskiej przeprawy na wielkim frachtowcu.

- Jak ty to robisz, Jamesie, że ta żaglówka cię słucha? - pytała naiwnie, jak na pannę przystało.

Roześmiał się.

- Skoro muszę wiedzieć, jak utrzymać na kursie fregatę, jak ustawiać jej wielkie żagle, taka łupinka orzecha to fraszka naprzeciw okrętu.

- Człowiek tyle musi się uczyć... - westchnęła Abigail.

- Czuję to samo, kiedy deklamujesz sir Williamowi wyimki z Homera, i to po grecku. Jak biedny, prosty marynarz ma coś z tego zrozumieć?

- Pokażę ci jak, mój biedny prosty lordzie marynarzu. - Zanurzyła dłoń w wodzie i opryskała Jamesa.

- Nie zaczynaj - ostrzegł ją. - Bo cię utopię.

Gdy wpłynęli do niewielkiej zatoczki, James zwinął żagiel, wyskoczył z łódki i przywiązał ją do sterczącego z wody pała, jedynej pozostałości po niegdysiejszym pomoście.

Abigail wahała się chwilę, po czym podkasła spódnicę sukni, przełożyła ostrożnie jedną nogę przez burłę, pisnęła wystraszona, ale postanowiła dobrać o własnych siłach do plaży.

- Przeniósłbym cię przecież, Abbie.

- I przy okazji wrzucił do wody? - zawołała ze śmiechem.

Kiedy dotarła na brzeg, ujął ją za rękę i poprowadził wąską ścieżką na niewielką polanę, gdzie czekała już rozpostarta na trawie czerwona kapa, były nawet

poduszki. Na gałęziach otaczających polanę drzew powiewały czerwone wstążki, wisały wesoło pobrzękujące dzwoneczki.

- Chciałem, żeby to miejsce przypominało o świętach w moim domu rodzinnym, ale obawiam się, że to ciągle Neapol i niewiele tu Devonu - powiedział mocno zakłopotany.

- Cudnie to pomyślałeś, Jamesie - zawołała Abigail, całkiem zapominając o przemoczonej sukni. - To najwspanialsza niespodzianka, jaką mogłeś mi sprawić. Cudnie jest, cudnie, cudnie - zachwycała się.

Objęła go i pocałowała. Dotarli tak daleko razem. Razem. Nie zamierzała teraz się zatrzymywać. Pyszne posiłki już czekały. Zlegli na nim spragnieni siebie.

James szeptał, jaka jest piękna, jak bardzo ją kocha, aż oboje zapomnieli się całkowicie, do końca, w miłosnym uścisku.

Wciąż jeszcze oszołomiona Abigail myślała, że to najpiękniejsze święta w jej życiu, święta w ramionach ukochanego. Wrócili do portu znacznie później, niż James zamierzał, już po zmierzchu, kiedy każdy rozsądny Anglik i Angielka zostawiali ulice Neapolu neapolitańczykom i zwierali drzwi swoich domów.

Ale nie tylko pora go niepokoiła, czuł po prostu czające się w powietrzu niebezpieczeństwo. Miasto zdawało się poruszone, niespokojne. Zewsząd dochodziły głośnie nawoływania, we wszystkich oknach jarzyło się światło.

- Co się dzieje? - zagadnął po włosku fiakra, którego najęli, by zawiózł ich do ambasady. - Stało się coś?

- Signor nie wie? - Fiakier pokręcił smutno głową. - Francuzi znów zajęli Rzym i idą na Neapol. Niech Bóg ma nas w swojej opiece.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Po powrocie do rezydencji poszli prosto do biblioteki, by porozmawiać z Hamiltonami. Zastali tam również Nelsona i kilku kapitanów. Przywitały ich posepne miny, atmosfera była ciężka.

- Wreszcie się zjawiasz, Richardson. - Admirał posłał Jamesowi mało przychylnie spojrzenie. - Słyszałeś już?

- Słyszałem - przytaknął James, ujmując dłoń Abigail. - Rzym wzięty, wojska neapolitańskie w odwrocie.

- Neapolitańczycy podkulili ogony i uciekają z głośnym skomleniem. - Nelson skrzywił się z niesmakiem. - Ten dureń Ferdynand pierwszy do ucieczki. Przebrał się za chłopą, zamiast stanąć na czele swoich wojsk, jak na mężczyznę przystało, o królu już nie wspomniawszy. Przynajmniej honoru nie stracił, bo go za grosz nie ma. A ona co tu, do diabła, robi?

Abigail w pierwszej chwili nie zorientowała się, że to o nią chodzi.

- Milordzie - dygnęła - jestem tutaj, bo interesuję się...

- Panna Layton jest ze mną - oznajmił James, jakby ta odpowiedź całkowicie wyczerpywała kwestię.

- Nie zajmujmy się teraz panną Layton, tylko pomyślmy o rodzinie królewskiej - studziła panów lady Hamilton. - Trzeba im zapewnić bezpieczeństwo, jak tylko pojawią się w Neapolu.

- Królowa jest przerażona - dodał sir William. - Francuzi wiozą ponoć w taborach gilotynę i nie zawahają się użyć tej piekielnej maszyny.

- Nie Francuzi mnie niepokoją, ale poddani Ferdynanda i Marii. Jak tylko się zorientują, że para królewska zamierza opuścić miasto, rozerwą oboje na strzępy, niewiele zostawiając Francuzom na pożarcie.

- Dobrze powiedziane. - Sir William spojrział na żonę z czułością. - Emma ma rację, trzeba pomyśleć o ratowaniu króla i królowej.

- Król, królowa, czereda dzieciaków - sarknął zniecierpliwiony admirał. - Cały dwór, świta, służba. Gdzie ich wszystkich mamy niby pomieścić?

- Chcesz przyłożyć rękę do ich zguby, milordzie? - natarła na niego lady Hamilton.

- A niech ich diabli. Gdyby potrafili obronić Rzym, nie musieliby teraz trząść się ze strachu.

- Trzeba tak wszystko ułożyć, by przewozić ich na okręty pojedynczo, niezauważenie - wyjaśniała cierpliwie lady Hamilton. - A potem przeprowadzicie ich do Palermo.

Palermo, druga stolica królestwa Ferdynanda, było rzeczywiście bezpiecznym schronieniem, bo Francuzi nie odważą się zaatakować Sycylii i narażać na kolejne starcie z flotą angielską, myślała Abigail. Ale co z nią będzie?

- Lady Hamilton, sir William i ja wsiądziemy na „Vanguarda” jako ostatni. Ty, Richardson, będziesz czekał na znak od nas na pokładzie „Colossusa”.

- Na „Colossusie”?

- Tak jest. Nie było cię tutaj, kiedy omawialiśmy nasz plan. Gratuluję, kapitanie. Od dzisiaj jesteś dowódcą „Colossusa”. Popłyniesz z Neapolu prosto do Portsmouth, tam otrzymasz dalsze rozkazy.

- Dziękuję, milordzie - powiedział James powściągliwie, bez zbędnej emfazy.

- To dla mnie ogromny zaszczyt.

- Zaszczyt to w pełni zasłużony - powiedział admirał z uśmiechem.

- Dziękuję - powtórzył James. - Chciałem tylko zapytać, czy panna Layton będzie mogła towarzyszyć mi do Portsmouth?

Ogarnęła ją ogromna ulga. Już się trwożyła, że James o niej zapomni, zostawi ją...

- Panna Layton? - Admirał nie wierzył własnym uszom. - Ta... ta kobieta na pokładzie „Colossusa”? Wybacz, milordzie, ale to niedopuszczalne. Znasz mój pogląd co do obecności kobiet na okrętach wojennych.

- Wiem, że obecność kobiet jest niedozwolona, ale kapitanowie mają prawo zabierać swoje żony. - Przyklęknął przed Abigail i zapytał, biorąc za świadków wszystkich zebranych: - Uczynisz mi ten największy ze wszystkich honor i zostaniesz moją żoną?

- Nie, Richardson, nie mogę do tego dopuścić. Jesteś synem para Anglii i zasłużonym oficerem floty królewskiej. Nie pozwolę, żebyś rujnował sobie przyszłość przez małżeństwo z osobą niższego stanu. Twój ojciec nigdy by mi tego nie wybaczył.

Abigail nie słyszała go, w uszach dźwięczały jej jeszcze słowa oświadczeń Jamesa.

- Proszę, wyjdź za mnie, Abbie. Bądź moja na zawsze.

- Tak, Jamesie - odpowiedziała mocnym głosem. - Tak.

Porwał ją w ramiona.

- Moja najdroższa Abbie - szeptał. - Moja jedyna miłości.

- Na pokładzie „Colossusa” musi być wielebny, on udzieli ślubu. - Lady Hamilton stanęła obok narzeczonych. - Jest wojna, nikt nie będzie sobie zawracał teraz głowy wyrabianiem licencji, dawaniem na zapowiedzi i podobnymi banialukami. To sytuacja wyjątkowa. Nie martw się, milordzie, o przyszłość kapitana. Każdemu mężczyźnie potrzebna jest mądra i piękna żona, która potrafi nim pokierować. Bez żony kapitan zginie, choćby najlepiej się zapowiadał.

- Dość już - sapnął admirał. - Kapitan Peters ma wielebnego na swoim okręcie - mruknął niechętnie i wznosił oczy do nieba. - Trudno, Richardson, żeń się, kiedy się upierasz, i niech wam się szczęści.

Lady Hamilton uśmiechnęła się promiennie, rada z odniesionego zwycięstwa, i ucałowała Abigail w obydwie policzki.

- Dziękuję, milady. Dziękuję za wszystko.

- Powiedziała ci, że będę ci zawsze przyjaciółką w potrzebie - szepnęła. -

Miałaś dość rozumu, żeby nie posłuchać moich rad. - Zaśmiała się i poklepała ją po ręku. - I pomyśleć, że w świąteczny poranek obudzisz się u boku całkiem nowiutkiego męża.

James zachichotał.

- A nie mówiłem, Abbie, że szykuję dla ciebie prawdziwą niespodziankę?

- Mówiłeś - przytaknęła uszczęśliwiona. - Mówiłeś!

Ślub odbył się na pokładzie „Colossusa”, świadkiem był dotychczasowy dowódca okrętu, kapitan Peters. Znalazło się nawet trochę francuskiego wina do kolacji, a kucharz upiekł całkiem jadalny tort weselny.

Peters posunął się tak daleko, że oddał swoją kabinę młodym, co wykorzystali, jak potrafili najlepiej, i to ku obopólnemu zadowoleniu.

Abigail obudziła się o świcie.

- Mój mąż - szepnęła. - Mój cudowny mąż.

„Mąż”, jakże słodko brzmiało to słowo. James natychmiast otworzył oczy, jak przystało na dobrego żeglarza. Nachylił się i pocałował żonę.

- Dzień dobry, lady Richardson.

- To nie byle jaki dzień. Mamy już święta - powiedziała z uśmiechem. -

Posłuchaj, słyszę dzwony!

- To dzwon okrętowy wybija szklanki, głuptasie - poinformował ją wilk morski.

- Nieprawda - zaprotestowała. - To świąteczne dzwony. Popatrz, śnieg. -

Spojrzała w bulaj. - Jesteśmy w Neapolu i mamy śnieg. A Wezuwiusz rozbłyskuje w szarym świetle poranka. Urządza nam świąteczne fajerwerki.

- Wszystko prawda - zgodził się zdumiony James. - Niech to będzie kolejna niespodzianka dla ciebie. Kocham cię i nigdy nie przestanę kochać. Wesołych świąt, najdroższa.

RS